Nr. 14. Warszawa, dnia 2 Kwietnia (21 Marca) 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Tydzień polityczny. — *Odcinek*: M. Schnitzer. Na świadka. Zdarzenie z życia kobiety, przeł. M. G. — *Badania naukowe*: Bezwiedne sprawy duszy, p. Władysława Kozłowskiego. — Z dziedziny etnologii porównawczej, p. N. — *Literatura i sztuka*: Literatura francuska, p. L. W. — Śród muz, III, p. Cezarego Jelentę. — *Życie społeczne*: Listy wiedeńskie, p. Stwosza. — Z Poznańskiego, p. t. z. — Jan Amos Komensky (Comenius). — Pamiętnik. — *Sprawy ekonomiczne*: Emerytura państwowa, p. K. R. Ż. — Przemysł, handel i finanse. — Z rynku. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przesilenie ministeryalne w Niemczech zażegnane, ale niezakończone. Cesarz oddzielił godność kanclerza od prezydentury w gabinecie pruskim, obdarzył tą ostatnią hr. Eulenburga, teką zaś ministra oświaty — Bossego. Capriviego na stanowisku utrzymał, ale nikt nie wierzy, aby ten układ rzeczy i osób mógł być trwały. Przedewszystkiem wspomniany rozdział urzędów, według mniemania wszystkich stronnictw, nastręczy wielkie trudności. Już raz zrobił z nim doświadczenie Bismark, ale po 11 miesiącach próby oświadczył, że się omylił, że kanclerz Niemiec musi być też prezesem ministrów pruskich, gdyż Prusy przewodniczą w rzeszy niemieckiej. Odetnijcie mi — rzekł wtedy — moje korzenie pruskie, a jako kanclerz pozostanę bez wpływu. Caprivi, przedstawiając się sejmowi jako „przepołowiony,“ usiłował dowieść, że przestawszy być prezesem ministrów, nie poniesie żadnej szkody w roli kanclerskiej, że zachowawszy nadal tekę ministra spraw zewnętrznych, będzie miał wpływ na sprawy pruskie, że wogóle dokonana operacya okaże się w skutkach bardzo dobrą — nikogo jednak nie przekonał. Wszystkie partye mniemają, że wkrótce trzeba będzie powrócić do dawnego stanu rzeczy a nawet przypominają, że nie kanclerz prezesa ministrów, ale ten pochłonie kanclerza i że znowu te urzędy zostaną zjednoczone w osobie hr. Eulenburga. Jest to człowiek dość twardy i ambitny. Zasiadał już raz w ministeryum, skąd go wyparł Bismark słynnym swoim listem, odczytanym przez radcę Rommla na radzie koronnej. Natomiast Caprivi nietylko popełnił kilka błędów, ale po skompromitowaniu się w sprawie projektu szkolnego stracił chęć do dalszej służby w najpierwszym urzędzie państwowym. Wszystkie te względy składają się na przypuszczenie, że obecny układ gabinetu niemiecko-pruskiego jest tymczasowy.

Tekę ministra oświaty po Zedlitzu objął Bosse, osobistość niegłośna, ale znana. Jest to prawnik, który ostatnio zajmował posadę sekretarza stanu w ministeryum sprawiedliwości i byłby wolał pozostać na niej, gdyby nie silny nacisk cesarza. Bosse jest konserwatystą i człowiekiem bardzo pobożnym, ale dalekim od wszelkiego fanatyzmu.

Zamiast jednego Zedlitza, konserwatyści otrzymali w rządzie dwu swoich mężów, nie są jednak z tej zmiany zadowoleni ze względu na przyczynę, która ją spowodowała. To też gdy nowy minister oznajmił w sejmie, że rząd cofa projekt szkolny — na ławach junkrów i ultramontanów odezwały się ironiczne śmiechy.

Spór między Anglią i Stanami Zjednoczonymi o połów fok w cieśninie Beringa ma być wreszcie zakończony sądem polubownym, który się zbierze w Paryżu. Drobna ta sprawa dla Europy, dla obu wspomnianych państw posiada bardzo ważne znaczenie.

W sejmie czeskim odbył się formalny pogrzeb ugody wiedeńskiej. Przedstawiciele staroczechów i szlachty historycznej odczytali deklaracye, w których składają to martwo urodzone niemowlę do tymczasowego grobu, obiecując, że je kiedyś wskrzeszą. To „kiedyś“ wydłuży się prawdopodobnie w nieskończoność.

BADANIA NAUKOWE.

BEZWIEDNE SPRAWY DUSZY.

Pomiędzy złudzeniami, jakim umysł ludzki podlega, bodaj czy nie najpowszechniejszem jest przekonanie, że to, co się daje wypowiedzieć i określić słowami, daje się również i pojąć, że każdej nazwie odpowiada rzecz, tą nazwą oznaczona. Tego rodzaju złudzenia spotykamy bardzo często nietylko w życiu powszednim, ale i w zakresie naukowych badań, nawet najbardziej ścisłych. Jeżeli wszakże gdzie, to w filozofii rozpościerają się one z taką swobodą, że można by na pierwszy rzut oka wnosić, iż jest to dziedzina, w której panuje nie ścisłe myślenie, obowiązane zdawać sobie sprawę ze swych twierdzeń i wywodów, ale bujna fantazya, swobodnie igrająca z motylami po nieskończonych obszarach abstrakcyi i idąca na wyścigi z każdą chmurką, wiatrem pędzoną. Że tak jest rzeczywiście, świadczy o tem najwymowniej cała przeszłość filozofii, która, zajęta odgadywaniem zagadek, dotyczących rzeczy nadziemskich, przeświadczona była głęboko w swej dziecięcej naiwności, że tworząc cudackie wyrazy i układając je w bardziej jeszcze cudackie frazesy, czyni zadość swemu zadaniu i dokonywa odkryć, wytykających nowe drogi dla umysłu ludzkiego.

Filozofia nowszych czasów podjęła się pracy Herkulesowej, chcąc wyczyścić tę stajnię Augiasza ze śmieci a od tylu wieków gromadzonego. I nie można zaprzeczyć, że pod wielu względami wywiązuje się należycie z podjętego zadania. Na nieszczęście, rozwiewając złudzenia stare, zastępuje je nierzadko nowemi, które niczem od tamtych się nie różnią, chyba tem tylko, że przybrane w pozory faktów doświadczalnych albo wyciągnionych z nich wniosków koniecznych, silniej olśniewają umysły i głębiej w nich się zakorzeniają.

Nie wdając się w wyliczanie wszystkich złudzeń, jakim ulega dzisiejsza filozofia, a których sporą ilość możnaby zebrać, ograniczam się na jednem z nich, bodaj czy nie najważniejszem o tyle przynajmniej, że uchodząc za nabytek wiedzy pewny i niezachwiany, stało się nie tylko rodzajem panaceum, do którego uciekają się psychologowie w trudnych zagadnieniach, ale posłużyło nawet za podstawę dla całego systematu filozoficznego, uzasadniającego logicznie to, co tylko brakiem logiki daje się wytłomaczyć. Jest niem mianowicie teorya o bezwiednych czynnościach duszy, która ujęta w system przez sławnego Hartmanna, znana jest pod nazwą: *Filozofii nieświadomości.*

Czem jest ta teorya dla dzisiejszej filozofii, jaką odgrywa rolę we wszystkich badaniach, dotyczących życia wogóle, a przedewszystkiem objawów duchowych, daje o tem dokładne pojęcie okoliczność, że z równem zaufaniem udają się do niej po stwierdzenie swych poglądów materyaliści, jako też spirytualiści; że z tą samą gotowością staje ona do usług tak ścisłemu pozytywizmowi, jak i najskrajniejszemu mistycyzmowi, dostarczając argumentów pierwszemu dla wyjaśnienia faktów doświadczalnych, drugiemu — przywidzeń, a nierzadko i kuglarskich sztuczek, do których w pierwszym rzędzie należy spirytyzm. Jest ona mieczem obosiecznym, który z równym skutkiem tnie na lewo i na prawo stosownie do tego, jak kto potrzebuje jej użyć.

Materyalista, wychodząc z założenia, że bezwiedne czynności duszy, które stanowią

jej tło i podstawę, mają charakter czysto mechaniczny i niczem się nie różnią od spraw fizyologicznych, dowodzą, że świadomość jest zjawiskiem dodatkowem, *epifenomenem*, i nie stanowi istotnej własności duszy; że będąc nadto zjawiskiem niestałem, gdyż pewne czynności czasu świadomie mogą następnie stać się nieświadomemi, może ono z czasem zupełnie zaniknąć. Skąd prosty wniosek, że między duszą a ciałem nie ma żadnej różnicy, wszystkie bowiem ich czynności są tej samej natury.

Ze swej strony dualiści, uważający duszę i ciało za dwie różne i nic z sobą wspólnego nie mające substancye, zarówno jak i moniści, którzy, rozciągając zasadę dualizmu do całej rzeczywistości, zapatrują się na ducha i materyę, jako na dwa różne pierwiastki, zawsze i wszędzie sobie towarzyszące, ale pozbawione ściślejszego z sobą związku i tylko zostające do siebie w zagadkowym stosunku paralelizmu, znajdują w bezwiednych czynnościach duszy pożądany dla siebie środek do powiązania faktów psychicznych w zamknięty łańcuch przyczyn i skutków, do nadania im nieprzerwanej ciągłości, do wytworzenia z nich w ten sposób skończonej całości od warunków materyalnych zgoła niezależnej.

Ponieważ o bezwiednych czynnościach duszy nic nie wiemy i wiedzieć nie możemy dla tej prostej przyczyny, że będąc sprawami duchowemi, nie podlegają obserwacyi zewnętrznej, będąc zaś bezwiednemi, znajdują się po za granicami świadomości i są niedostępne dla obserwacyi wewnętrznej; można więc na ich rachunek kłaść wszelkie przywidzenia i przesądy, jakiemi się odznaczają mistyczne na świat i życie poglądy, a nawet takie kuglarstwa, obliczone na naiwność ludzką, jak spirytyzm. Sama zresztą nazwa: bezwiedne czynności duszy, będąc sprzeczną w sobie, daje się zastosować do wszystkiego i można pod nią podciągnąć to, co się komu żywnie podoba.

Nieokreśloność teoryi o bezwiednych czynnościach duszy i jej elastyczność, mocą której daje się ona naginać do wszystkiego i rozszerzać według potrzeby i zamiaru, dostatecznie świadczą o jej naukowej wartości. Jest ona hipotezą, niedającą się ściśle oznaczyć ani pod względem treści, ani pod względem zakresu, czyli, mówiąc po prostu, jest wyrazem bez znaczenia, służącym dla zamaskowania naszej niewiadomości i z góry rozgrzeszającym nas z lenistwa myśli, która zadawalając się pozornem rzeczy wyjaśnieniem, czuje się zwolnioną od dalszych badań.

Że jest ona rzeczywiście nie czem innem, jak czczym wyrazem, próżną w sobie hipotezą, dającą się wypełniać dowolnie wszelkimi pomysłami i domysłami, stwierdza najwyraźniej głębsze zastanowienie się nad podstawami, na jakich się opiera.

Teoretyczną jej podstawę stanowi Kartezyuszowskie określenie duszy i ciała, podług którego ciało jest substancyą rozciągłą, dusza zaś — nierozciągłą. Otóż określenie to nie wytrzymuje krytyki. W najlepszym razie jest ono tylko opisaniem doświadczalnego faktu, że objawy cielesne znamy za pośrednictwem zmysłowego postrzegania, którego formę stanowi rozciągłość, jakkolwiek wyjątkiem pod tym względem są wrażenia słuchowe, pozbawione charakteru rozciągłości, objawy zaś duchowe poznajemy bezpośrednio drogą wewnętrznej obserwacyi, której formę stanowi następstwo czasowe, chociaż także nie bezwzględnie, jak dowodzą postrzeżenia i wyobrażenia, które są uświadomieniem współbytności wrażeń zmysłowych i ich odtworzeniem umysłowem, jako rzeczy rozciągłych. Wyprowadzać z tego faktu wnioski, odnośnie istoty duszy i ciała, jest to dopuszczać się błędu logicznego, zwanego: *fallacia accidentis*, który polega na wyrokowaniu o rzeczy podług tego, co względem niej zostaje w stosunku nie istotnym, ale przypadkowym, czyli na sądzeniu o rzeczy z pozoru.

Cała wiedza ludzka zamknięta jest jak najszczelniej w granicach świadomości. Jak człowiek nie może przeskoczyć własnego cienia, tak myśl nasza nie może przekroczyć naturalnych swych granic. Zna ona tylko zmiany swej świadomości, które stanowią dla niej treść tego, co nazywamy duchem. Materyę zna ona tylko, jako sumy pewnych zmian świadomości, które uważa za skutek nieznanych jej przyczyn zewnętrznych i dla tego wyrzuca je niejako po za siebie, poczytując je za coś, co jest jej danem i nie w niej ma swój początek. Podlega ona tu złudzeniu, gdyż wytwór własnego umysłu podstawia na miejscu nieznanej sobie przyczyny i bierze go za rzeczywistość od siebie niezależną i różną. W ten sposób materya, która jest naszem wyobrażeniem, zdaje się nam być czemś, co zawiera w sobie wszystkie te własności, jakie tkwią w naszem o niej wyobrażeniu, chociaż te własności są nie czem innem, jak zmianami naszej świadomości i mają znaczenie czysto podmiotowe, nie zaś przedmiotowe. Że jest zewnątrz naszego *ja* coś, co odpowiada naszemu wyobrażeniu o materyi, możemy tego być pewni, mniejsza na jakich podstawach ta pewność się opiera. W każdym razie ani wiemy, ani wiedzieć możemy, czem jest w sobie ów byt zewnętrzny i jakie są jego własności. Co najwięcej to tylko możemy o nim powiedzieć, że nie jest ani rozciągłym, ani świadomym.

Nie jest rozciągłym, gdyż rozciągłość, przestrzeń jest faktem czysto umysłowym; wszystkie bowiem czucia zmysłowe, uważane jako materyał doświadczalny, z którego powstaje wyobrażenie przestrzeni, są intensywne, nie zaś ekstensywne; rozciągłość, przestrzeń, mają charakter podmiotowy i nie można ich uważać za formy bytu zewnętrznego, ale musimy je zaliczyć do form postrzegania zmysłowego.

Nie jest także świadomym, w takim bowiem razie nie różniłby się od naszego *ja* i wiedzielibyśmy o nim bezpośrednio, tymczasem tej bezpośredniej wiedzy o bycie zewnętrznym nie mamy. Nabywamy ją drogą doświadczenia i jakkolwiek wiara w byt zewnętrzny wydaje się nam koniecznością logiczną, nie przestaje ona być hipotezą, o tyle prawdopodobną, że bez niej byłyby dla nas niezrozumiałe czucia i postrzeżenia zmysłowe, że bez niej nie moglibyśmy wytłomaczyć samego życia duchowego, które w oderwaniu rozważane, przedstawia się jako szereg pewnych faktów świadomych, pozbawionych ciągłości.

(D. n.)

Władysław Kozłowski (Lwów).

Z DZIEDZINY ETNOLOGII PORÓWNAWCZEJ.

Ogarniając coraz szersze koło szczepów, etnologia dzisiejsza zbiera obfity materyał, który dzięki metodzie porównawczej nader pouczające daje wyniki. Twierdzenie słyn-

---

M. Schnitzer.

NA ŚWIADKA.

Zdarzenie z życia kobiety.

Bawiłam z synkiem moim, Fryderykiem, na mieszkaniu letniem w okolicy szląskiej, w pobliżu Troppau. Pewnej niedzieli wieczorem otrzymuję od męża mego, który pojechał był właśnie do Lipska w sprawie nakładu nowej swej powieści, następującą naglącą depeszę:

„Jutro na godzinę 9-tą rano powołana jesteś jako świadek w procesie przed przysięgłymi w W. Nie chcąc cię przedwcześnie niepokoić, dotychczas nic o tem nie wspominałem. Starałem cię uwolnić od tego obowiązku — niestety, starania moje pozostały bezowocne. Prokurator wymaga koniecznie twoich zeznań i żąda, abyś się stawiła. Wyjedź wieczorem, pospiesznym. W sali dla świadków wymień nazwisko. Pamiętaj, nie spóźnij się. — Juliusz."

* * *

Biła dziewiąta, kiedy jednokonka moja stanęła przed gmachem sądu krajowego. Cała drżąca jeszcze przestrachem, wywołanym przez ów nieszczęsny telegram, złamana nocą bezsenną, spędzoną w trwodze i niepokoju, wchodzę spiesznie bez tchu prawie do sali świadków. Ku wielkiemu zdziwieniu zastaję tu wśród mnóstwa nieznanych mi osób trzech znajomych, których spotkać tu nigdy nie byłabym się spodziewała. Byli to mieszkańcy mego rodzinnego miasta, ludzie, którzy w mojem życiu pewną, znaczną nawet odegrali rolę. I tak: Monika, dawna moja mamka i piastunka, tęga kobieta w stroju szląskich wieśniaczek; dalej Gregorya, która przez dwadzieścia lat pełniła w domu rodziców moich obowiązki kucharki; wreszcie niejakiś pan Lorentz Wetzner. Ten swojego czasu był moim i rodzeństwa mego korepetytorem: człowieczek mały, zgarbiony, dziwaczny, trochę podejrzliwy i złośliwy... Spocząwszy na ławce, spostrzegam, że Monika pokazuje mnie kucharce: obie zerkają na mnie z pod oka, poczem wsuwają się w kąt, kurczą, aby tylko ujść mojej uwadze. Hm, dziwna rzecz — czyżbym śniła... Ogarnia mnie dziwnie przykre uczucie. Czegóż, na Boga, chcą ode mnie? Gdybym przynajmniej miała pojęcie, o co tu właściwie idzie? Mąż mój ani słowem rzeczy mi nie objaśnił, zatelegrafował tylko, że nie chciał mnie przedwcześnie niepokoić... Więc jest jakiś powód do niepokoju! Spiesznie zaczynam przerzucać kartki ilustrowanego dziennika, który kupiłam na stacyi w nadziei, że stąd się dowiem, jaką właściwe sprawę przysięgli dzisiaj sądzić mają... Nic jednak nie znajduję, poprostu nic; natomiast na tytułowej kartce dziennika widnieje obrazek: „Las podczas letniego poranku, w niedzielę." Zniecierpliwiona rzucam głupie pismo na ziemię... Zaczynam rozmyślać—nic przypominam sobie jednakże, iżbym kiedykolwiek była świadkiem jakiegokolwiek przekroczenia, choćby najmniejszego. Jestem przecież przyzwoitą kobietą, ktora nigdy w życiu swojem nie popełniła nic, coby rzucić mogło cień na jej charakter lub opinię... Jestem uczciwą do szpiku kości uczciwą kobietą i wiem, że żaden uczciwy człowiek szacunku mi nie odmówi... A jednak gorączkowo wyczekuję teraz objaśnienia, w jakim właściwie celu znajduję się dzisiaj w tej oto sali. Postanawiam więc zainterpelować pana Wetznera, który skrzyżowawszy ręce pod starym, długim, zielonym surdutem, chodzi przed mojemi oczami tam i napowrót, mnie jednak nie zaszczyca nawet spojrzeniem. Na przemówienie moje zatrzymuje się i spogląda na mnie, jakby w przestrachu. Poczem pyta z niejakim wysiłkiem:

— Jak to? Więc nie jesteś pani oskarżona? A to komiczne!..

Na chwilę oniemiałam.

— Ja? Oskarżona? — pytam wreszcie, drżąc na całem ciele. Ależ, panie, skąd pan wpadłeś na taki szalony pomysł?

— No, hm... Widzi pani, odwiedził mnie w B. jakiś pan, bardzo... hm, bardzo zresztą elegancki jegomość. Zadawał mi różne śmieszne pytania... pytał o panią...

— O mnie!

Oddech zamiera mi w piersi.

— Tak jest. Mówił, że jest obrońcą w sprawach karnych... tak mówił... hm, więc sądziliśmy...

— Że ja popełniłam zbrodnię! — zawołałam oburzona.

nego etnologa Peschla, że władze umysłowe człowieka na całej przestrzeni kuli ziemskiej są jednakie, że najdziwaczniejsze nawet skoki i zboczenia powtarzają się, zyskuje coraz więcej prawdopodobieństwa. Etnolog Sepp, ogłaszając pracę o „Międzynarodowych zwyczajach weselnych, chrzestnych i pogrzebowych“ *), zaraz na karcie tytułowej streszcza wynik porównawczych badań w przypisku: „Dowód jedności rodu ludzkiego i pochodzenia jego z Azyi.“ Można atoli przeczytać tę pracę z wielką korzyścią. Samo stwierdzenie pokrewnych rysów u szczepów, które nigdy nie miały sposobności zetknięcia się ze sobą, jest zarówno zajmującem, jak pouczającem. Najbardziej uderza podobieństwo zwyczajów pogrzebowych, opartych na wyobrażeniach animistycznych. Wiadomo, że w orszaku żałobnym patrycyusza rzymskiego postępował zawsze szereg ludzi w maskach przodków nieboszczyka; podobnie u germanów i niemców średniowiecznych szli za trumną t. zw. „Guglmänner“; u obu narodów wyobrażano sobie, że duchy przodków wprowadzają go do krainy nadziemskiej. Legendy wszystkich niemal szczepów świadczą o tem, że według wyobrażeń ludowych zmarły, który nie został pogrzebany, nawiedza krewnych i przyjaciół. Ślady animizmu widoczne są i w zwyczajach rytuału katolickiego; dzień zaduszny jest pomnikiem wyobrażeń animistycznych, które spowodowały obchodzenie podobnych zupełnie uroczystości u japończyków i chińczyków.

Niemniej zajmujące podobieństwa odkrył etnograf amerykański Garrick Mallery pomiędzy indyanami czerwonoskórymi a dawnymi hebrajczykami. Autor, należący do zarządu „Smithsonian Institution for Ettenologg“ w Waszyngtonie, wyrobił sobie imię głośniejsze studyami nad charakterem i obyczajami tych ludów. W najnowszej swej pracy **) nie kusi on się bynajmniej o poparcie znanej a dziwacznej hipotezy, jakoby indyanie amerykańscy byli potomkami zatraconych szczepów żydowskich, nie dopatruje wogóle rasowych podobieństw pomiędzy tymi szczepami, lecz stwierdza zdumiewające istotnie pokrewieństwo organizacyi społecznej, wyobrażeń mitologicznych i religijnych i innych objawów społeczno-psychologicznych. Rzecz naturalna, że porównania Mallerego odnoszą się do owego okresu rozwoju hebrajczyków, który odpowiada stopie cywilizacyjnej indyan amerykańskich. Są to więc czasy przed właściwem wyrobieniem się narodowości izraelskiej i przed zajęciem stałych siedlisk. Według tego autora narodowość hebrajska umocniła się dopiero w epoce króla Dawida, wówczas kiedy umiejętność pisania rozpowszechniła się w całym szczepie. Indyanie amerykańscy nie dosięgli nigdy tego stopnia rozwoju, atoli wówczas, kiedy Kolumb odkrył Amerykę, posiadali kulturę, odpowiadającą mniej więcej cywilizacyi hebrajskiej w okresie patryarchalnym przed zdobyciem Chanaau.

Wspólną obu szczepom była przedewszystkiem organizacya społeczna, system klanów, wyrobiony zwłaszcza u indyan w postaci t. zw. totemizmu. Totem czyli znak na sztandarze nadawał miano całemu klanowi. Błogosławieństw Jakóba i Mojżesza, w których poszczególne ludy nazywane są mianem zwierząt, nie należy brać metaficzycznie. W błogosławieństwie Jakóba pokolenia Inda nosi miano lwa, Izachar—osła, Dan — węża, Neftali — łani, Benjamin — wilka. W błogosławieństwie Mojżesza znajdujemy następujące miana: Efraim zwany jest wołem, Mannase—turem, Gad—lwem, a Dan — lwiątkiem. Morelly wnosi, że były to totemy plemion. Widzimy dalej u obu szczepów systematycznie powtarzające się wyprawy celem rabowania. Wspólność zdobyczy wytwarza solidarność wszystkich członków. Surowa organizacya szczepowa sprawiła zarówno u indyan, jak u dawnych hebrajczyków, że ziemia nie była własnością prywatną jeno wspólną. Na uwagę zasługuje wreszcie instytucya lewiratu, wspólna obu szczepom. Wierzenia i zwyczaje religijne hebrajczyków i indyan — powiada autor — są tożsame w istocie i w punktach głównych, tożsame co i u innych szczepów w podobnym okresie rozwoju kulturalnego. Ani jedni, ani drudzy nie byli ludem „szczególnym.“ Człowieczeństwo ma naturę jednaką, różnice zależą tylko od postępu na drodze cywilizacyi. Postęp ten zaś znów zależy od przyczyn, które jak wiadomo i dziś jeszcze bezustannie działają.“

W związku z pracami powyższemi wypada nam wspomnieć o nader pouczającem dziele z zakresu porownawczej historyi kultury dr. Georga Grupp *). Autor usiłował zebrać poglądowo cały materyał przedmiotu. Praca jego p. t. „System i historya kultury,“ obejmująca dwa tomy. Pierwszy należy do przeciętnych płodów uczoności niemieckiej, pełna filozoficznych wywodów i niepotrzebnych definicyj, a nadto rozjaśniająca kwestye główne. Więcej wartości posiada tom drugi (historya formy i treści życia ludzkiego). Na 500 stronach znajdzie czytelnik całkowite dzieje cywilizacyi wszech krajów i wszech czasów, treściwie opowiedziane. Widać, że autor zawładnął istotnie materyałem.

Dodać winniśmy, że stanowisko Gruppa jest klerykalne.

N.

*) *Internationale Hochzeits- Tauf- und Todtengebräuche.* Monachium, 1891. Litterarisches Institut. — Dzieło to poświęcone jest Virchowowi, jako księciu antropologów.

**) *Israeliten und Indianer*, przekład F. S. Kraussa. Lipsk, Th. Grieben, 1891.

*) *System und Geschichte der cultur*, 2 tomy, Taderborn 1892.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Journal des Goncourt (Mémoires de vie littéraire). Tom V Paryż 1891 i Tom VI Paryż 1892.

Dziennik Goncourtów staje się z roku na rok bezmyślniejszym. Ostatnie dwa tomy nie zawierają ani jednej ciekawszej wiadomości. Autor, wyzyskując dawną swą sławę i rozgłos pierwszych tomów, puszcza w obieg masę cudzych konceptów i okruchów myśli, które są bezmyślnem paplaniem zdziecinniałego starca. Opowiada nam, kiedy sobie przykładał kataplazmy i jaki skutek wywarły, kiedy jadł u Zoli (który go przyjął w jasnych spodniach w kratki) jakiś wyśmienity sos, a pani Daudet wtajemniczyła go w ceny kortów,

---

— Hm, mówiąc otwarcie, tak! Tak sądziliśmy, tem bardziej, że — no, pan ten utrzymywał, że winniśmy to samo powtórzyć przed przysięgłymi w Wiedniu — w oznaczonej porze każe się nam stawić... tak. I mamy ściśle to samo powtórzyć — dziwna rzecz, mamy powtórzyć, że łaskawa pani bynajmniej nie jesteś oskarżona.

Ze złości o mało nie wybuchnęłam głośnym płaczem. Lecz zapanowałam nad sobą. Zachowaniem się powinnam im przecież dowieść, że nie mam przyczyny do obawy...

— Tak — rzekł p. Wetzner po chwili — no tak, ale jeżeli pani nie jesteś oskarżona, to cóż będzie z naszem honoraryum?.. Tracę zarobek dwudniowy... A podróż, a utrzymanie tutaj! To dobre, któż mi więc teraz zapłaci?

Brzmiało to prawie jak pogróżka.

— Dureń, który pana sprowadził! — zawołałam gniewnie.

Chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale było już za późno. Wywołano właśnie moje nazwisko, podniosłam się więc i za woźnym weszłam do sali sądowej.

* *
*

Nie mogę powiedzieć, ażeby uczucia, które mnie ogarniały, kiedy stanęłam w wielkiej, ponurej sali, przed licznem zgromadzeniem panów starszych, w mundurach, należały do przyjemnych. Panowie ci siedzieli za stołem, po za mną na stopniowo wzniesionych ławkach — zbity tłum ludzi, gapiących się pewnie na mnie ze złośliwą ciekawością. Byłam jakby bezwładna, słyszałam tętno własnego serca.

— Świadka proszę bliżej — odezwał się wcale przyjemny głos z za stołu.

Przybliżam się nieznacznie chwiejnym krokiem.

— Nazwisko pani — Maryanna Kind, jest pani żoną literata, wyznania katolickiego, wieku lat 26, rodem z B., zamieszkała w Wiedniu, okręg drugi, Praterstrasse 98?

— Tak — odrzekłam.

Lżej mi już trochę na sercu. Słowa tego pana wcale nie były straszne.

— Czy byłaś już pani karana?

Znowu ogarnia mnie trwoga. Istotnie niedawno przez sąd okręgowy byłam skazaną na drobną grzywnę za to, że nie mogąc rozwiązać ani jednego ze 176 zadań strasznej „łamigłówki,“ kamienie tej modnej „gry cierpliwości“ wraz z pudełkiem i wzorami rzuciłam za okno. Chciałam opowiedzieć fakt ten bez ogródek, zastanawiałam się tylko jeszcze, w jaką formę ująć odnośne zeznanie, aby sąd nie pomyślał, że w samej rzeczy popełniłam ważne wykroczenie. Wtem wstaje przystojny młody człowiek (miał czarny wąsik, oczy jak iskry i nosił wizytowy surdut — nigdy nie zapomnę jego fizyognomii) i zjadliwie pocznie:

— Zdaje się, że świadek cierpi na słabą pamięć! (Wśród publiczności — wesołość). Otóż ja chętnie pomogę! (Nowa wesołość). Wyrokiem sądu karnego 2-go okręgu świadek, Maryanna Kind, był skazany na grzywnę za to, że 25 czerwca r. b. pozwolił sobie następującego żartu: z okien mieszkania, położonego na drugiem piętrze, świadek rzucił na ulicę kamienie. Ulica należy do najbardziej ożywionych arteryj miasta, kamienie o mało nie zabiły przechodnia, który oczywiście o podobnym wypadku nie śnił. Na szczęście przechodzień ten miał na głowie cylinder. (W sali ożywienie). Panie prezydujący, oto wyrok sądu okręgowego!

W oczach mi pociemniało. Tak ludzie mówią, myślą o niewinnem, nieznacznem wykroczeniu. Tak można było myśleć o mnie, o mnie? Boże, więc czyż istotnie byłam taka zła? Już chciałam zaprotestować, kiedy zabrał głos jeden z owych panów w mundurach. Był to —

Prokurator. Pan obrońca przesadza. Przypisuję to jego młodości. (Wesołość). Owe „kamienie“ to tylko małe kwadraty ze zbitej gliny.

I opowiada całe zajście tak, jak ja chciałam je opowiedzieć, nadmieniając przy końcu:

— Istotnie, zdaje się, że łaskawy obrońca jedyną możliwość uniewinnienia oskarżonego widzi w onieśmieleniu przedstawionych przez mnie świadków.

— O panie, dziękuję ci! — zawołałam wzruszona.

Dlaczego w tej uroczystej chwili publiczność wybuchnęła śmiechem, tego do dziś dnia pojąć nie mogę.

Teraz miałam złożyć przysięgę, lecz znowu podniósł się

Obrońca. Protestuję przeciwko odebraniu przysięgi od tego świadka— rzekł ener-

które kupuje na sukienki dla córek. Słówka rozmaitych znakomitości, z któremi obcuje, przytaczane, odznaczają się tak kompromitującą bezmyślnością — wszystkie jak gdyby pożyczone od Ollendorfa — iż, jak sądzę, ludzie, znajdujący się w jego towarzystwie, muszą odczuwać głęboki niepokój. O Zoli dowiadujemy się, iż lubi szparagi, Maupassant natomiast — raki. Są to wszystko tego rodzaju wiadomości, iż nawet dla krytyki naukowej — którą z prostaczego punktu widzenia możnaby nazwać plotkarstwem, jako „zaglądanie w prywatne strony życia“ — nie mogą przedstawiać najmniejszego materyału. Bo cóż to, proszę was, rzuca za światło na Daudeta, że przepada za kalafiorami, lub że Zola nosi spodnie w kratki? Rozmowy „pięciu“ przedstawicieli literatury francuskiej podczas obiadów, na których i Turgeniew bywał obecny, odznaczają się także niesłychanem ubóstwem: kobiety i wino, wino i kobiety — oto zwykły ich temat i to w najbanalniejszem znaczeniu.

W *Dzienniku* znajdujemy jednak uwagi, którym nie można odmówić słuszności. Oto przykład: „Jestem autorem zupełnie innej szkoły — powiada Goncourt — a jednak pisarzami, których przenoszę ponad wszystkich, są Henryk Heine i Edgar Poë. Znajduję, że *my* wszyscy jesteśmy commis-voyageurami obok tych dwóch wyobraźni.“

Daje to najlepszy dowód artystycznego ubóstwa literatury francuskiej, a jednak pomimo to, a może nawet właśnie dlatego, powieść Goncourtów, jako znak czasu, ma pierwszorzędne znaczenie. Rzuca ona jaskrawe światło na psychologię społeczną całej warstwy w pewnej epoce — a stanowi prawdopodobnie jedyny materyał dla przyszłego socyologa, który, śmiem sądzić, będzie badał te kwestye z takiem samem zamiłowaniem, jak obrządki ślubne lub chrzestne tupinambosów. Postarajmy się w krótkich słowach scharakteryzować stan duszy, który się kryje w takich utworach, jak *Charles Demailly*, *Madame Gervesais*, *Manette Salomon* i jej związki z otoczeniem społecznem.

Jednolitość dzieł Goncourtów, pomimo podwójnego ich pochodzenia, przedstawia ciekawy wypadek wpływu hypnotycznego. Guyau przypuszcza, iż kwestya życia po śmierci będzie mogła po części przynajmniej w ten sposób być rozstrzygnięta, iż każdy człowiek potrafi drogą suggestyi oddać poniekąd całą swą istotę duchową jakiemuś następcy, który, utożsamiwszy się z nim, będzie kontynuował jego byt. Wypadek Goncourtów potwierdza tę hypotezę: śmierć Juliana prawie nie zostawiła żadnych śladów na następnych dziełach Edmunda, jak *La Faustin* itd. Są to pisarze tembardziej zajmujący, iż na wzór Beyle'a wyprzedzili swój czas o lat 30 i przedstawiają nie początki drugiego Cesarstwa, lecz, w pełnem tych słów znaczeniu, chwilę obecną. Stan ducha odbity w ich dziełach dochodzi do zupełnego swego rozwoju dopiero teraz. A kto wie? Może nawet przyczynili się w tem sposób do wytworzenia tej atmosfery duchowej, którą oddycha francuska, a po części i europejska literatura. Ten paradoks wyobraźni przedwczesnej najlepiej dowodzi, iż analiza psychologiczna nie wyczerpuje zadań krytyki i że trzeba ją koniecznie uzupełniać przez badania gruntu, na którym ziarno duchowe rozwinąć się może, przez badania socyologiczne. Goncourtowie rozpoczęli swą karyerę malarstwem i to pozostawiło na ich działalności ślady niezatarte. Wyrobione oko i zmysł artystyczny uczyniły ich zbieraczami w życiu i literaturze. Ich dom to muzeum artystyczne, gdzie spędzali czas śród rzadkich bronzów, mebli, porcelan i obrazów. To stałe obcowanie z przedmiotami sztuki odbiło się na całym ich aparacie duchowym i talencie. Wykształcone oko daje literaturze nieskończoną ilość nowych i oryginalnych skojarzeń, ale zarazem będą to skojarzenia czysto zewnętrzne. Analiza psychologiczna ogranicza się u nich tylko na tych stronach, które są dla oka dostępne. Ten nastrój musiał ich zaprowadzić do odszukiwania wrażeń rzadkich i subtelnych w przeszłości — przystanęli nad wiekiem XVIII, który zaczęli badać z punktu widzenia smaku, zwyczajów i obyczajów. Ale naukowo niepodobna tej pracy jeszcze prowadzić, a zresztą nie potrafiliby. Obrali więc romans, będący dla nich „historyą, która mogłaby mieć miejsce.“ Formułka ta następnie wyzyskana została ostatecznie przez Zolę. Takie były skutki artystyczne wyrafinowanej manii zbieraczy i wielbicieli *bibelotu*, której się Goncourtowie oddawali. Jest ona charakterystyczna, ta potrzeba wytworzenia sztucznej atmosfery, którą jedynie oddychać można: każe przypuszczać olbrzymie znużenie woli i rozstrój uczuciowości. Rozumie się, w samym fakcie nie widzimy nic złego, przeciwnie, sztuka z czasem przeniknie do wszystkich dziedzin życia, ale w danym razie mamy objaw niewątpliwie chorobliwy. Proszę sobie przedstawić, iż człowiek wyzbył się wszystkich zadań życiowych, uważając je za błahostki, natomiast skupił całą swą żywotność w jednym zmyśle. Tak jednostronne wyrafinowanie wywołuje w mózgu dziwne zaburzenia, a może jest tylko przejawem zaburzeń mózgowych. Wytwarza się wrażliwość chorobliwa, dostarczająca wiele subtelnych boleści i rozkoszy, ale odtrącająca zarazem od wszelkich zadań życiowych. Ich sympatye i antypatye wywoływane są jedynie zewnętrznym pozorem rzeczy. Nie pójdą na zebranie ludowe, choćby najważniejsze, aby nie obrazić oka lub innego zmysłu. Są jakby odarci ze skóry, najmniejsze dotknięcie rzeczywistości ich rani i krwawi. Taki jest obraz duszy Goncourt'ów, a także „duszy nowoczesnej,“ w której zanik osobowości staje się coraz bardziej oczywistym. Długoletnie wychowanie, tyrania społeczna, książki — wszystko to zalewa człowieka do takiego stopnia, iż nie jest on w stanie się odszukać i żyje ciągle, jak zahypnotyzowana maryonetka. Dodajcie do tego nerwowość, sceptycyzm, brak ideałów społecznych i politycznych, a otrzymacie obraz duszy inteligentnego mieszczanina. Ten nastrój epoki Gourcourtowie odmalowali z niesłychaną siłą pesymizmu i zrospaczonej melancholii. Jest to obraz własnej ich duszy. Jakaś ogólna pobłażliwość wylewa się ze wszystkich ich znużeń, które lubią opierać się o rzeźbione stoły i stąpać po rzadkich kobiercach. Z obojętnością spoglądają na powolne swe konanie, w którem pozostała im już tylko kwiecista artystyczna ciekawość. Taki jest romans Goncourtów.

Jest to romans obserwacyi i drobnych faktów, malujący przytem nie wybitne charaktery, ale ludzi średnich, przeciętnej miary. Bohaterowie ci poddają się biernie życiu, nie panując nad niem, gdyż są zwykle obdarzeni jakąś chorobą woli i osobowości — a na takich właśnie ludziach otoczenie najlepiej się odbija, nie spotykając

---

gicznie. Nie chcę uprzedzać zeznań osób wiarogodnych, które czekają w pokoju świadków i które orzekną o prawdomówności tej pani. Nadmienię tylko, że świadek nie bardzo z prawdą się liczy; panowie sędziowie dowiedzą się ze źródeł kompetentnych, że Maryanna Kind odznaczała się już w najwcześniejszej młodości skłonnością do kłamstwa. Wymyślała zdarzenia, które nigdy nie miały miejsca i opowiadała je jako fakty z własnego życia. Skłonność ta rozwinęła się prawdopodobnie z biegiem lat. Jak już powiedziałem, nie chcę uprzedzać zeznań, jest jednak obowiązkiem moim objaśnić prześwietny sąd, o ile słowom tej damy wierzyć należy. (Śmiech). Protestuję przeciwko odebraniu przysięgi.

Podczas tej patetycznej przemowy stałam, jakby skamieniała. Czułam, że serce ściska mi się żalem, z trudnością powstrzymywałam się od głośnego płaczu. Ja kłamię, ja, która zawsze starałam się dziecku mojemu przyświecać przykładem wszystkich cnót, ja — to straszne. Po to więc sprowadził moją mamkę, mego nauczyciela, ażeby napiętnować mnie znamieniem kłamliwego stworzenia... Oburzenie wróciło mi wreszcie mowę.

— Nie! — zawołałam z płaczem. Ten młody człowiek, którego wcale nie znam, którego nigdy nie widziałam (Głośne śmiechy), obraża mnie! Nigdy nie kłamię, nigdy! Prawda, że będąc dzieckiem, układałam różne bajeczne opowieści, ale nikomu na myśl by nie wpadło nazwać to kłamstwem. Przeciwnie, rodzice moi i jeden krewny, który jest dziennikarzem, utrzymywali zawsze, że posiadam uzdolnienie poetyckie, powieściopisarskie i zawsze zachęcali mnie do tworzenia takich bajek. (Głośne śmiechy. Ktoś woła: To niezłe! Śmiechy).

Przewodniczący przywołuje publiczność do porządku.

Obrońca (ironicznie). Panowie przysięgli zechcą chyba przyznać, że namiętny ten wybuch świadka jest po prostu śmieszny. Do zeznań tej pięknej duszy (Śmiechy) nic już nie dodam. Osoba, obwiniająca starych, czcigodnych rodziców, ludzi należących do stanu, który tak wysoko cenię — tu ruchem ręki wskazał na ławki, zajęte przez kilku panów piszących — osoba, obwiniająca rodziców o moralne przestępstwo, jakiem jest niewątpliwie szukanie pięknych nazw dla jednego z najcięższych nałogów i zachęcanie do dalszego w nim trwania — osoba taka...

Dłużej nie mogłam się powstrzymać. Dusiłam się. Konwulsyjne łkanie wstrząsało całą moją postacią.

— O panie! — zawołałam, zwracając się do owego pana w uniformie, który mnie raz już obronił — broń mnie pan przed obelgami tego pana. Nigdy nie popełniłam czynu, którego bym się wstydzić miała!

Podniósł się jeszcze, zanim go wezwałam.

Prokurator. Jestem o tem przeświadczony, łaskawa pani! — rzekł grzecznie. Uspokój się pani. Obrońca trzyma się tylko w danym razie środka, który epidemicznie bywa teraz praktykowany przez młodych członków stanu adwokackiego w Wiedniu. Oskarżony przyzna się do winy — działał w przystępie obłędu umysłowego; wyprze się winy — oczywiście zeznania świadków są kłamliwe... Panowie ci szukają punktu oparcia dla siebie w zaprzeczaniu zeznaniom świadków. To wprawdzie sposób bardzo wygodny, ale z czasem staje się nudny...

Obrońca (zrywając się). W imieniu całego mego stanu stanowczo odpieram dziwne pociski pana prokuratora. Dowodząc niewinności człowieka, którego charakter i prawość w moich oczach najmniejszej nie ulegają wątpliwości, wypełniam tylko święty obowiązek. Świadek ten jednakże, pani Kind, staje tu, aby zeznawać przeciwko memu klientowi.

Jak to było powiedziane! Z jakim ogniem! Smukła jego postać w tej chwili jeszcze większą się wydawała. Gdyby tu nie szło o mnie, byłabym niewątpliwie uwierzyła słowom, tchnącym taką szczerością przekonania. Teraz dopiero spojrzałam na oskarżonego. Trochę uspokojona przemówiłam:

— Pan obrońca myli się, nie mam bynajmniej zamiaru świadczyć przeciwko temu panu!

Ani się spodziewałam, że słowa te takie sprawią wrażenie. Wielką salę zaległa nagła cisza, wśród publiczności słychać było szmery zdziwienia. Słowem — sensacya. Prokurator zrywa się, obrońca zaś woła:

— Pani łaskawa wybaczy, więc to nieporozumienie! Naturalnie zeznania trzech

z ich strony żadnego oporu. Opis zajmuje tu plan pierwszy, intryga zupełnie ginie — a wszystko sprowadza się do bezwładu woli. Oto np. Ch. Demailly, literat, obdarzony tą cechą przy niesłychanym rozwoju czułości. Każde dotknięcie życia go rani, a świadomość tej bezsilności zwiększa jeszcze jego męczarnie. Staje się odrazu ofiarą przebiegłej kokietki, którą pogardza, ale wobec której znajduje się zarazem zupełnie rozbrojonym. Dlatego też nie spotykamy jeszcze u Goncourtów innej choroby duchowej — „impuissance d'aimer" (niemocy kochania), która mogła się pojawić tylko u osób obdarzonych znaczną dozą woli obok umysłu analitycznego. Nie chcąc się stać ofiarą ani własnych iluzyj, ani cudzych omamień, hamują w sobie instynktownie prawie wszelki polot uczucia. Jeden z przedstawicieli tej organizacyi duchowej opisywał mi w następujący sposób proces, który się w nim odbywa w takich wypadkach: „Dla tak skomplikowanej i cieplarnianej rośliny, jak moje uczucie, trzeba stosownego pomieszczenia — to też mogę przejść koło tysiąca kobiet, nie zwróciwszy na nie najmniejszej uwagi. Ale oto spotykam kogoś, kto ją do siebie przykuwa i z ciekawością spoglądam, jak w uczuciu mojem osadzają się jakieś kryształki. Jeżeli warunki sprzyjają, mogłyby się one ułożyć w bujną gałązkę. W przeciwnym razie widzę, jak jeden kryształek za drugim odpada i rozpływa się w otaczającej obojętności, dopóki nic nie zostanie — wówczas się kłaniam z zadowoleniem i odchodzę. Gorycze rozczarowania mają smak nieoceniony. Taki jest zwykły — z rzadkimi wyjątkami — rezultat moich zapędów miłosnych. Olbrzymia różnica wychowania i pojęć mężczyzny i kobiety, a jeszcze więcej, masa więzów, które tyrania społeczna w danym razie nakłada i z których indywidualizm ludzki dawno wyrósł, czynią coraz bardziej niemożliwym rozwój uczucia. Zdaniem Fourier'a mężczyzna wstępuje w małżeństwo z uczuciem wołu prowadzonego do szlachtuza, w kobiecie natomiast myśl jego z konieczności musi się zrodzić wobec każdego mężczyzny, który się jej spodobał. Pod wpływem takiej masy sprzeczności biedne kryształki w żaden sposób rozwinąć się nie mogą. Ileż to razy widziałem się w roli Hrabiego (z *Pana Tadeusza*), który, podkradłszy się pod sad, spostrzega obraz czarodziejski: boginię z trojgiem gnomów, bawiących się rożkiem Amaltei, kilka łabędzi pływających po potokach zieleni — boję się odetchnąć, aby nie spłoszyć oczarowania, gotów jestem klęknąć i dziękować za chwilę boskiej sensacyi i naraz słyszę okrzyk: „nie możesz pan pospędzać moich gęsi!" To „bogini" woła z powodu „łabędzi," które się zerwały na mój widok; gnomy — to zamorusane dzieciaki, rożek Amaltei — marchewka, a korony splecione z promieni słonecznych — to słomiane krążki. Często bywam ofiarą moich własnych iluzyj i po skończonem przedstawieniu krzywię szyderczo usta, mówiąc w duchu do tej, którą w nie przyodziałem: „Pani przez chwilę byłaś raną mego serca, obecnie jesteś jego plastrem." Ale ten nastrój duchowy bohaterom Goncourtów nie jest znany. Oni podpadają odrazu władzy kobiety, chociażby najlichszej, tak samo, jak M-me Gervesais ze zdenerwowania ulega władzy religii, a sami Goncourtowie — *bibelot*'u. Jeżeli zechcemy obecnie scharakteryzować grunt społeczny, na którym podobny stan ducha mógł się wytworzyć, to znajdziemy klasę, skazaną na wytępienie i wymarcie. *Morituri!* Oślepła i ogłupiała burżuazya ostatecznie poświęciła się dogadzaniu tylko potrzebom żołądka, oka lub innego zmysłu. Siedząc na laurach, pozbyła się wszelkich idealnych dążeń. Jej mózg, ogołocony z tego rodzaju pobudek, ulega dziwnym zaburzeniom, które przypominają jakby atrofię. Tą samą drogą, jaką kret utracił oczy, zadowolony lub niezadowolony, *burżua* przemieni się z czasem na jedno wielkie podniebienie, lub na jeden wielki organ płciowy. Goncourtowie dla *oka* wyrzekli się wszelkich ideałów społecznych i stali się męczennikami *bibelot*'u.

L. W.

ŚRÓD MUZ.

III.

Konkurs imienia Kuryerowa.

To co teraz znajdujemy na wystawie Zachęty, wygląda już tylko jak potraw, jak owo drugie sianożęcie, z którego ani ludzie, ani konie szczególnej pociechy nie mają. Turniej poprzedni wyczerpał snadź energię i zapał malarzów, i wywabił z ich pracowni obrazy wartości średniej. Stanęli też do apelu w liczbie niepokaźnej, tak że Salon dzisiejszy nie przedstawia się ani szczególnie świeżo, ani ciekawie. Przytem rzeczy nowe zawieszono między dawnemi bez żadnych oznak wyróżniających, tak iż widz nie jest w stanie odgadnąć, co należy złożyć na karb konkursu, a co uznać za prace nadesłane bez jakiejkolwiek pobudki ambitnej.

Najwięcej zwracają na się uwagę dwa płótna Chełmońskiego. Oba są motywami zimowymi, w których króluje kolor biały z całą bezwzględnością, z całem lekceważeniem dla gustów przeciętnych, które koło obrazu nie pstrego i nie kolorkowego przechodzą, wzruszając ramionami. Zwłaszcza „Kuropatwy" rozmiarów znacznych zastanawiają swą śmiałą monotonią; dzięki jej wszakże autor osiągnął niepospolity charakter i prawdę. Nie zachwycamy się tak osobliwie samem stadem, które budzi w myśliwych, zwiedzających galeryę, taki apetyt, że w swem zacietrzewieniu—artystycznem radziby przyjść na nią z wyżłem i dubeltówką, ile krajobrazem, zaprawdę niezrównanym. Ile tylko posępności, jednostajności, sieroctwa i wiszących w powietrzu dreszczów zimna i słoty — zawiera chwila bezsłonecznej zimy, czy też lekkiej zawiei śnieżnej, ile spleenu drzemie we mgle, unoszącej się nad polami, świeżo przykrytemi białym całunem, tyle ich Chełmoński wydobył. Owe połacie ciemniejsze, jakgdyby oznaczające wielkie pod warstwą śniegu kałuże i rozdoły są wyborne. Na tem szerokiem tle kuropatwy są tylko uzupełnieniem, ozdobą, ale wykonane doskonale. W ich dreptaniu bojaźliwem, rzec można, przygnębionem, tkwi swoją drogą graniczący z sentymentem charakter, a w wykończeniu pojedynczych egzemplarzy, w ruchach, konturach, barwie czuć rękę majstra, od dzieciństwa obytego z widokiem tej przyrody, którą mieszczuch ogląda tylko na wystawie handelku albo w gabinecie zoologicznym.

Zdarzyło się nam słyszeć dowcipy, robione na rachunek sójki, która rzuca się w oczy na drugim pejzażu p. n. „Szron." Ludziom nie przypada do gustu ten ptak

---

pozostałych świadków są niepotrzebne. Proszę odebrać przysięgę od tej pani.

Prokurator (ponuro). Udało się więc obrońcy ośmieszyć mego świadka. (Szmery). W samej rzeczy musi tu być jakieś nieporozumienie, lecz prawdę wykryjemy. Teraz ja pozwolę sobie badać świadków, których zeznania obrońca uważa za zbyteczne.

Odbierają ode mnie przysięgę, przewodniczący rozpoczyna przesłuchanie.

— Znasz pani oskarżonego?

Ja. Tak, jest to pan Maierfeld, nasz sąsiad.

Przewodn. Czy słyszałaś pani w nocy z 16-go na 17-ty czerwca głośne szmery w sąsiednim pokoju?

Ja. Nie przypominam sobie.

Prokur. Przewodniczący mówi o szmerach... Należy to objaśnić bliżej. Czy owej nocy świadek nie słyszał głośnej wymiany słów, przeraźliwego krzyku?

Ja. Nie.

Prokur. Ach, pani sobie nie przypomina. (Wesołość). Obawa pani przed obrońcą idzie już trochę za daleko. Otóż, panowie przysięgli potrafią osądzić to zeznanie, gdy skonstatuję, że ściana, oddzielająca pokój, gdzie pani sypia, od pokoju, gdzie popełnioną została zbrodnia, nietylko przepuszcza głosy, ale jest niejako dobrym przewodnikiem dźwięku. (Homeryczny śmiech, któremu wysoki sąd wtóruje).

Ja (prędko). Nie wiedziałam, że to taka zła ściana i dziękuję panu prokuratorowi za tę wiadomość. Naturalnie natychmiast wymówię mieszkanie. (Znowu śmiech). A obrońcy, który mnie obraził w tak dotkliwy sposób, wcale się nie boję. Nie mam żadnej przyczyny do bojaźni (Głośna wesołość).

Przew. Nie o to idzie, łaskawa pani. To nam zupełnie obojętne, czy wymówi pani mieszkanie, czy też nie. Pytanie brzmi: czy w nocy z 16-go na 17-ty czerwca nie słyszała pani głośnej rozmowy?

Ja (namyślając się). Z 16-go na 17-ty?

Przew. Tak.

Ja (stanowczo). Nie, stanowczo nie!

Prokurator. Słyszeliśmy tu od jednego świadka, że zbudził go ze snu przeraźliwy okrzyk: Jezus Marya! Świadek ten mieszka na 4-em piętrze. A pani miałaby tego nie słyszeć! Dziwne!

Ja. Nie mogłam nie słyszeć! Przypominam sobie teraz, że 16-go czerwca rano wyjechałam z synkiem i sługą do S. przy Proppau. Owej więc nocy nie było mnie już w Wiedniu, nie było mnie w domu!

Salę zaległa grobowa cisza. Poproszono mnie jeszcze, ażebym udowodniła, iż w samej rzeczy byłam wtedy nieobecna — przyszło mi to z łatwością. W końcu przewodniczący uwolnił mnie, mówiąc.

— Mogłaś pani była oszczędzić sobie przykrego zajścia, składając zeznania u sędziego śledczego. Ale sama nas pani wciąż przepraszałaś przez małżonka swego za dotychczasowe niestawienie się przed sądem... Jesteś pani wolna.

Byłam złamana, opuszczając salę. U drzwi wyczekiwał mnie pan Wetzner, żądając honoraryum. Spojrzałam na niego tak, że przestraszony cofnął się. I pojechałam na kolej.

* * *

Nie wiem, o jakie przestępstwo szło w owej rozprawie sądowej, nie dowiedziałam się nigdy czy pana Maierfelda uwolniono, czy też nie, bo nie mogłam się zdecydować na przeczytanie odnośnej wzmianki w gazecie. Ilekroć pomyślę o tej godzinie, kiedy jako świadek stawałam przed kratkami, ogarnia mnie takie straszne uczucie, jak gdyby to na mnie padł wyrok, mnie za przestępstwo skazano. Ja — straszna kłamczyni przed światem! Ja — stworzenie, którego rodzice pożałowania są godni! Rozpacz! Czem sobie na to zasłużyłam? Czyż świadek w samej rzeczy jest bezbronny wobec „świętych obowiązków" obrońcy i prokuratora. Trudno uwierzyć!

Napisałam do męża, ażeby przyjechał do S., ponieważ muszę się z nim koniecznie porozumieć. Na to odpowiedział mi, iż przeprawy z nakładcą tak go wycieńczyły, że musi wytchnąć, czternaście dni przynajmniej... Ale ja wiem, dlaczego nie przyjeżdża! Boi się... Tacy to są mężowie — wszyscy!..

Przełoż. *M. G.*

tak duży i ciężki, że gdy usiadł na gałęzi, zaczął się z niej sypać strumień szklistych, białych igiełek. Pragnęliby, ażeby to był koliber, albo co najmniej słowik — w grudniu. Zewsząd więc narzekania i westchnienia: ach, gdyby tej sójki nie było! Podobnie nawet niektóre panie miały zamiar wysłać do artysty deputacyę, ażeby ją zastąpił choćby papugą i „nie psuł swego obrazu.“ Nie, dalibóg, panie Witkiewiczu, gdybyś pan słyszał i widział, jak rozzuchwalasz wszystkie kwoki i wszystkich wałachów do dyktowania malarzom indywidualnym, żywiołowym, co powinni na obrazie umieszczać, a co pomijać, możebyś nie był tak skorym do poświęcania ich w tajemnice dobrego smaku, bo ten zarówno jak i szczere poczucie natury zawsze tajemnicą jednostek pozostanie. Również wzruszano ramionami na szron, domagając się, ażeby spadał tak, jak struga piwa bawarskiego z antałka i t. d. Zamiast gmerać w ulicznych i bawialnianych mądrościach, powiedzmy odrazu, że i ten utwór Chełmońskiego jest odczuty, że o nim trudno wyrzec, czy jest ładny, bo jest przedewszystkiem prawdziwy, podpatrzony, z doskonałymi promieniami słońca padającymi ukośnie, pełen nastroju, i co najważniejsza, ilustruje konsekwentnie znaną już, święcie i zawsze wierną sobie, nader artystyczną i poetyczną organizacyę. Chełmoński ani słodkim, ani harmonijnym nigdy nie będzie, na to trzeba się zgodzić, ale też nigdy natury nie wyblaguje z palca.

Dwa maleńkie obrazki, z których jeden — p. Zarembskiego — przedstawia dziewczynę, kołyszącą dziecko, a drugi — p. Kędzierskiego — porębę w chwili, gdy dziewucha przenosi na ramionach drwa, są bezpretensyonalne, ale zdradzają pochodzenie dobre. W obu mamy przed sobą prawdziwe życie i wytrawność pędzla, w pierwszym żałosne wnętrze chaty wiejskiej z takąż twarzyczką młodziutkiej piastunki, w drugim powietrze leśne i znamienny nastrój karczowiska. W „Polowaniu“ p. Weycherta niema motywów świeżych, którychbyś np. nie spotkał w scenach myśliwskich Fałata; jest nawet pewna od niego jakoby zapożyczona energia figur i dosadność typów, ale mężkość, nawet pożyczona, nie traci swej ceny.

Do najlepszych rzeczy zaliczamy proste w pomyśle płótno p. Masłowskiego p. t. „Przed poborem.“ Grupę, postawioną na tle wybornej w kolorze łąki, tworzy żołnierz siedzący na koniu i zapisujący coś, podczas gdy wierzchowiec szczypie trawę, oraz kosiarz z gapiowatem, zakłopotanem obliczem, w wielkim słomianym kapeluszu i ogromnie przestronnych szarawarach huculskich koloru ponsowego. Obrazek zaleca się niepowszednią siłą tonu, dobrem światłem i wyrazem jasnym, dobrze tłomaczącym się w ruchach i postawach, choć zdaniem naszem, zyskałby, gdyby kolor owych spodni mniej rwał się naprzód i zamiast pobijać, dostrajał się natężeniem do reszty kolorów. Bądź co bądź, w p. Masłowskim zapowiada się jędrny kolorysta i zwolennik tematów niewyszukanych lecz malowniczych.

Całkiem odrębną sferę przypomina „Przed chrztem“ p. Maszyńskiego — czasy szlacheckie, nastrój ciepły, poczya domowego ogniska. W innem obrobieniu przedmiot ten możeby raził pewną staroświecczyzną, tem bardziej, że sceniczny układ obrazu — pokój z alkową oświetloną w głębi — jest skomplikowany i zdradziecki. Artysta jednak wykonał go tak starannie, owiał taką życzliwością i poczciwością samą akcyę i jej postacie, narysował tak sumiennie, że obraz w ten sposób wyszlachetniony robi wrażenie poważnego i odczutego dzieła sztuki. Nie ma tu żadnego nowatorstwa w sposobie malowania, może nawet za dużo czci dla tradycyi, ale jest główny warunek powodzenia — miłość oczywista dla motywu.

Bardzo efektowny i wdzięczny temat opracował p. Rapacki; grono kobiet wiejskich śpiewa pieśni pobożne pod krzyżem przy świetle latarni czy ogarka, na tle nocy, która otula widniejący niepodal szereg chałup. Światło umieszczone pomiędzy figurami i widocznie na ziemi rzuca na fizyognomie ciekawe refleksa i cienie, podbijając szczególnie oczy i podkreślając grubo wszystkie wypukłości twarzy. Smugi na ziemi są wyborne i do złudzenia prawdziwe. Typy chłopek zanadto podobne do siebie zdradzają robotę w tym przynajmniej punkcie pamięciową. Wyróżnia się przecież z pomiędzy nich jedna babina z ukośnem spojrzeniem, która jak gdyby szukała natchnienia w szeroko otwartych ustach swej sąsiadki i mechanicznie po niej powtarzała. Szczegół ten zawadza już niemal o karykaturę, ale niepodobna mu odmówić trafności.

Plant drogi żelaznej z lokomotywą na planach dalszych i dróżnikiem, odwalającym śnieg, kiedyś już, zdaje się, p. Biske produkował. Dzisiejsza odmiana tego motywu nie zawiera nic osobliwego, coby usprawiedliwiało ponowne przerabianie go, prócz chyba pejzażu, który w swej górnej części, złożonej z obłoków zaczerwienionych, jaśniejące światłem, przesadzonem może w jaskrawości szkarłatnych plam, ale prawdziwem co do samego blasku słonecznego.

Zakończmy oddaniem szczerych, niezdawkowych pochwał dwom portretom. Jeden z nich, pędzla p. Badowskiego, przedstawia mężczyznę o typie szlagona czerstwego, ogorzałego i wyrazie twarzy brutalnym, dosyć zdrowym, krewkim i trywialnym. Jest to robota silna, pełna wyrazu, jędrna i o całą nieskończoność odległa od dawniejszych, na Horowitzu wzorowanych portretach tegoż artysty. Co zaś do p. Bilińskiej, to jej przekwitła dama jest istnem arcydziełem. Cały poemat realistyczny, a nawet naturalistyczny wyziera z owych subtelnych zmarszczek, oczów, linij nosa, kącików warg, cery, spojrzenia. Pani tej nie widzieliśmy nigdy, ale ją znamy doskonale, odgadujemy, rozumiemy — jak gdyby ją nam zanalizował i przedstawił nie malarz, lecz szorstki Balzac lub dosadny Zola.

Które z pomienionych malowideł wzięło nagrodę konkursową? Żadne. Dla czego? Bo trzeba ją było zachować dla *popiersia* dłuta p. Olesińskiego. Rzeźbiarz został uwieńczony na turnieju malarskim. Wobec tego proponuję, ażeby na następnym przyznano palmę pierwszeństwa p. Or-Otowi za jego canzonę, która tak fatalnie zaciężyła na spokoju przyszłych „stróżyń domowego ogniska“ przebywających obecnie na pensyi... Praca p. Olesińskiego jest w rzeczy samej dobra, subtelna, ale nie uderza zaletami tak wybitnemi, iżby aż miała prawo gwałcić wolę zapisodawcy, elementarną słuszność i elementarną logikę. Może zresztą kluczem do tej zagadki jedynej w swoim rodzaju, ale na naszym gruncie nie tak znowu dziwnej, jest okoliczność, iż marmurowy ten biust przedstawia panią hrabinę Przeździecką.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE.

25 marca.

„Niewolnica“ nowa sztuka Ludwika Fuldy; niezwykły jej los w Burgteatrze wiedeńskim. — Eleonora Duse i Modrzejewska.

Burgteatr wiedeński doczekał się zdarzenia wprost niebywałego w jego dziejach: dyrektor wybrał sztukę znanego autora, aktorowie, mający tu, jak wiadomo, ważny głos, zgodzili się na odegranie jej, cenzura ją przepuściła, intendentura pozwoliła na próby; odbyło się pierwsze przedstawienie, jakich wiele, trochę oklasków, więcej obojętności — nagle sztuka znika z repertuaru. Zrazu zakłopotana dyrekcya puszcza w obieg wiadomość, że nie może na razie powtórzyć widowiska. wskutek niezdrowia artystki, lecz niebawem wychodzi na jaw prawda: wielki mistrz ceremonii (Oberst-hofmeister) dworu cesarskiego zabronił wznowienia sztuki, lub raczej, jak donosiły dzienniki szczersze — zabroniła jej pani oberst-hofmistrzyni, ks. Hohenlohe. Sądzicie zapewne, że chodziło o jakiś wybryk naturalizmu; że dyrektor, ośmielony powodzeniem pracy młodego Hauptmanna „Einsame Menschen,“ sięgnął po coś jaskrawszego jeszcze. Gdzie tam! Dr. Burckhardt jest wydyscyplinowanym urzędnikiem państwowym, znającym granice przyzwoitości. Wystawia on co najwyżej sztuki należące do t. zw. „rodzaju mieszanego,“ tj. czyniące wielkie ustępstwa dawniejszemu kierunkowi. Takim typowym autorem robót „mieszanych“ jest Ludwik Fulda, milioner-fabrykant, kokietujący z socyalizmem i robotnikami. Jego „Raj utracony“ (Das verlorene Paradies) poświęcony był kwestyi robotniczej, i mimo pewnych jaskrawych efektów kilkakrotnie grany był w Burgteatrze. Najnowszy utwór tego autora, „Niewolnica“ (Die Sklawin), jest obroną samodzielności i równouprawnienia kobiety z dodatkową apoteozą wolnej miłości. Autor wprowadza na scenę człowieka o grubych instynktach, bogatego kupca, który uszczęśliwił swą ręką dziewczynę niezamożną, ale wrażliwą. Zaopatrzył ją w piękne stroje i klejnoty, dał jej wygodne utrzymanie, lecz za to uczynił z niej niewolnicę. Żona ta obsługuje go przy obiedzie, zapala mu fajkę, gdy on mruknie „Feuer“ i cierpi w milczeniu przez lat dziewięć. Wreszcie zdarza się sposobność, która brutalstwo i despotyzm męża czyni jej nieznośnemi. Kupiec przyjmuje u siebie odbiorcę, na którym wiele mu zależy. Po obfitej uczcie, wśród wzmożonej wesołości, pan domu pozwala gościowi uściskać i ucałować swą żonę. Lecz o dziwo! — posłuszna do niedawna maszyna, dotknięta w godności kobiecej, oświadcza, że ona na to nie pozwoli. Starcie kończy się separacyą małżonków: „niewolnica“ opuszcza dom pana i męża, który nie zgadza się na rozwód. Opuszczonej kobiecie podaje rękę pomocną wdowiec, będący ojcem najlepszej jej przyjaciółki. Nie mogąc poślubić go wskutek uporu męża, młoda kobieta postanawia wyemancypować się do reszty i żyć z swym wybranym — w dzikiem małżeństwie.

Już samo przedstawienie stosunku małżeńskiego, wybornie zdjętego z życia niemców, wprawiło w gniew publiczność, zwłaszcza krzesłową i lożową, która wyszła ze swego zwykłego chłodu i okazywała niechęć wbrew oklaskom galeryi. A jednak równocześnie w Karltheatrze Eleonora Duse grała „Norę“ Ibsena, sztukę z podobnem zupełnie założeniem, zbierając grzmiące oklaski. Wielką potęga przyzwyczajenia: Ibsen jest dla publiczności wiedeńskiej już czemś znanem, nowych rewolucyonistów w literaturze zaś ona nie znosi.

Taż sama ks. Hohenlohe, która „Niewolnicę“ wzięła na indeks, odwiedziła wielką artystkę włoską, grającą „Norę.“ Podobnego powodzenia, jakie odniosła w Wiedniu Eleonora Duse, nie pamiętają od dawna. Nie znano jej tu wcale; grała w języku dla niewielu zrozumiałym, a jednak zdobyła sobie całą bez wyjątku krytykę i publiczność aż do sfer najwyższych. Dzięki zupełnej naturalności i prostocie przyćmiła Sarę Bernardt i przewyższyła Coquelina, który występował ze swem towarzystwem równocześnie. Ciekawiśmy, jakie po Duse sprawi wrażenie Modrzejewska, która przybędzie we wrześniu na wystawę muzyczno-

teatralną i grać będzie zarówno po polsku, jak po angielsku.

Stwosz.

Z POZNAŃSKIEGO

25 marca.

Zedlitz dymisyowany. — Regulacya Warty urzeczywistniona. — Projekt podwyższenia czesnego. — Niespodzianka ze Szląska i św. Izydor. — Księża opieka.

A więc już sprawa skończona z widmem szkoły wyznaniowej, projekt rządowy został pogrzebany bezpowrotnie i to przez sam rząd. W Poznaniu, gdy przyszła telegraficzna wiadomość o upadku Zedlitza, nie chciano z początku wierzyć i uważano ją za podstęp. Rychło jednak nastąpiło sprawdzenie depeszy, a zatem niemal ogólne zadowolenie. Cieszył się z tego wypadku każdy, kto zdrowo i rozsądnie o wychowaniu swych dzieci myśli i kto miał jeszcze w pamięci dawne nadzory konsystoryalne w szkołach. Upadek projektu szkolnego w sejmie pruskim ma doniosłe znaczenie, nawet w Austryi. Tu tylko oczekiwało gronko jezuickie uchwalenia tej ustawy, aby w parlamencie wiedeńskim przeprowadzić jeszcze ostrzejszą i przy dzisiejszym składzie rzeczy niewątpliwie by tego dokonano. Szczęściem i Zedlitz na stare lata, „sterawszy swe zdrowie w służbie publicznej“ będzie mógł osiąść na dewocyi w Poznaniu i przy szklaneczce piwa „gemüthlich“ opowiadać o swych nieprzyjaciołach.

Pisałem już dwukrotnie o regulacyi Warty w Poznaniu i o tem, że sprawa cała chwilowo stanęła, gdyż magistrat niechcąc jej sam na własne ryzyko załatwiać, zaprosił sławnego w Niemczech inżeniera, Franciusa z Bremy, żeby jako superarbiter oświadczył, który z projektów jest najlepszy. Francius nie odmówił; przyjechał, wsiadł na oddany mu statek parowy i objechał ogromną przestrzeń Warty pod Poznaniem, badając oba jej brzegi i czyniąc przytem notatki z ową, tak dobrze znaną, ścisłością niemiecką. Wreszcie stanął przed zgromadzoną na nadzwyczajnem posiedzedzeniu radą miejską, a rezultat swych badań śmiało, bez żadnych względów i zastrzeżeń wygłosił. Oświadczył się przeciw planom Krausego, Knichalma, Hinza, Laura, a przemówił za projektem Wulscha bo, wedle jego zdania, jest on najłatwiej wykonalny, a przytem najtańszy. Wulsch pozostawia koryto Warty w swojem miejscu i polepsza je tylko o tyle, o ile to możliwem. Główne łożysko odprowadza połowę wody powodziowej i będzie użyte do żeglugi, inne zaś ramiona rzeki, których stan obecny jest bardzo opłakany, posłuży do stworzenia łatwego odpływu reszty wody powodziowej. Przeciw temu projektowi przemawiano dawniej głównie dlatego, że dla bardzo wielkich skrętów starego koryta Warty proponowane tamy zawierają niebezpieczeństwo, które grozi domom, położonym po za niemi, skutkiem możliwego przesiąkania przez nie wody powodziowej. Francius jednak na przykładzie tam bremeńskich wykazał, że obawy te faktycznej podstawy nie mają i są urojone. Rzecz jasna, że po przemówieniu superarbitra nie było co rozprawiać. Sprawę oddano podkomisyi i ta ma zbadać ją szczegółowo ze strony technicznej, finansowej i prawnej. W ten sposób urzeczywistnienia projektu zostanie już niewątpliwie w najkrótszym czasie rozstrzygnięty i raz wreszcie mieszkańcy domów, nad Wartą położonych, spokojniej będą mogli odetchnąć.

Jeszcze jedna kwestya ważna dla miasta była przedmiotem obrad rady miejskiej. Türk wniósł imieniem połączonej komisyi finansowej i szkolnej projekt podwyższenia t. z. czesnego dla uczniów miejscowych z 30 na 40 marek, a dla zamiejscowych z 60 na 72. Żądanie usprawiedliwiał tem, że obecnie szkoła średnia jest przepełniona i daje bardzo liche rezultaty, mimo wielkich dodatków, jakie miasto na utrzymanie jej opłaca (30 marek na każdego ucznia). Projekt przeszedł znaczną większością głosów, gdyż zaledwie sześciu radnych oświadczyło się przeciw niemu, mamy jednak uzasadnioną nadzieję, że magistrat przejdzie nad nim do porządku dziennego. Reprezentant jego bowiem już w czasie obrad zastrzegł się przeciw podobnej uchwale, bo jest ona z gruntu przeciwna interesom już i tak bardzo obciążonych podatkami obywateli miejskich.

Szląsk przyniósł nam z wiosną niespodziankę.

Corocznie użalano się tu bardzo na emigracyę ludności wiejskiej na zachód dla zdobycia większego zarobku i polepszenia nędznego bytu oraz opuszczanie rodzinnej gleby, co powodowało ogromny brak robotnika na miejscu i znaczny upadek rolnictwa. Wszelkie wpływy nic tu nie pomagały, bo każdy woli więcej zarobić, więcej zebrać i lepiej żyć przez kilka miesięcy letnich w Saksonii, niż biedować u siebie dla tego, aby inni z tego zysk ciągnęli większy. Wreszcie zrozumieli to właściciele dóbr większych i dali pokój namowom. Z kolei jednak zabrali się do biednych „obieżysasów“ księża i zawiązali tedy na Górnym Szląsku towarzystwo pod wezwaniem św. Izydora, patrona rolników. Obowiązkiem proboszczów i członków towarzystwa jest mieć czujne oko na agentów, werbujących robotnika do wędrówek. W każdej umowie najemnej będzie odtąd dokładnie wymieniona odległość miejsca, dokąd robotnik jest zgodzony, od najbliższego kościoła katolickiego. Pracodawca ma się zgodzić na zwolnienie najmity od pracy we wszystkie dnie niedzielne i świąteczne i pozwalać mu na słuchanie kazań i mszy. Fałszywe podanie odległości kościoła oraz niedotrzymanie warunków czynią kontrakt nieważnym. Towarzystwo starać się będzie o dostarczenie robotnikom stosownych pism i książek w ich ojczystym języku. Czy to wpłynie na zmniejszenie emigracyi, nie wiem, ale bardzo wątpię. Zastrzeganie kontraktowe święcenia prócz niedziel i świąt, tak licznych u ludu naszego, niewątpliwie zmniejszy popyt na naszego robotnika i wartość jego pracy. Nie mam nic przeciw temu, żeby emigranci się łączyli, razem trzymali i mowę ojczystą ciągle w pamięci mieli, atoli stanowczo wypada zaprotestować przeciw wszelkiemu obniżaniu ich zarobków. Zresztą sam udział księży w tej sprawie jest bardzo mocno podejrzany wobec tego, że z jednej strony występują oni w roli idealnych obrońców ludu, z drugiej zaś faktycznie przeciw jego interesom, gdzie mają do tego sposobność.

t. z.

JAN AMOS KOMENSKY.

(Comenius).

Czesi, których rozwój narodowy był tak gwałtownie i tak długo przerwany, mieli za mało ludzi znakomitych, a za wielu ich dziś potrzebują, ażeby nie chcieli 300 rocznicy urodzin Kamenskego podnieść do stopnia wielkiej uroczystości. Zważywszy zaś przytem, że on był istotnie człowiekiem niezwyczajnej miary i rozległego wpływu, że główne zasługi położył w dziedzinie wychowania, w której był śmiałym reformatorem, niepotrzebnym i wyzywającym nazwać można krok ministra oświaty Gautscha, który zabronił uczniom szkół czeskich przyjęcia udziału w obchodzie, poświęconym znakomitemu pedagogowi. Niepodobna nam krótką notatką wyczerpać zasad systemu Komenskego, a nawet szczegółów jego życia wysoce ruchliwego i po części awanturniczego. Urodził się (1592) w Morawii w miasteczku Uherskim Brodzie jako syn młynarza i współwyznawcy „braci czesko-morawskich,“ sekty husyckiej. Widzimy go kształcącego się z początku w Strasnicach, potem na wszechnicach w Niemczech i Holandyi. Od r. 16 piastował urząd pastora i dyrektora szkoły w Przerowie. Wojna, a zwłaszcza bitwa pod Białą Górą, rzuca go w zawieruchę i tułaczkę. Naprzód zwraca na siebie uwagę dziełem alegorycznem *Labirynt świata*, w którem radzi czytelnikowi: „wrócić do swego serca i zamknąć się w niem, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.“ W r. 1628 przeniósł się z gronem „braci“ do Leszna (Poznańskie), gdzie łącznie z Rafałem Leszczyńskim kierował sprawą dysydencką; tu napisał dzieło *Didactica magna*, system wychowania, później *Janua linguarum reserata* — rodzaj lingwistyki, następnie *Pansophiae prodromus* — wstęp do wszechwiedzy (encyklopedyi). Zabawiwszy przez czas jakiś w Anglii, osiada w Elblągu i wydaje *Methodus linguarum*, przenosi się znowu do Leszna, stamtąd do Szarosz-Pataku i tu ogłasza swój słynny *Orbis pictus — Świat w obrazach*, ilustrowany podręcznik nauki czytania, ułożony—jak gdybyśmy dziś powiedzieli — metodą poglądową. W tej książce odzywa on się potężną i wpływową zachętą do kształcenia się w języku ojczystym. Tułaczka jego trwała w dalszym ciągu. Oprócz wspomnianych i wielu drobnych prac, których wymieniać nie będziemy, wydał jeszcze na krótko przed śmiercią *Unum necessarium*.

Zdrowy rozsądek jako główna władza duchowa, poglądowość jako metoda, język rodzimy jako narzędzie wychowania — oto zasadnicze podstawy pedagogiki Komenskego i jego reformy. Dziś nauka poszła dalej i nie zawróci już do jego pomysłów, tem bardziej, że on je oplątał niemi fantastyczności, ale niewątpliwie w obecnej wiedzy naszej tkwi wiele płodnych ziaren, posianych ręką Komenskego.

PAMIĘTNIK.

Wiosna.

Buduj cokolwiek, biedny człowieku, na takim klimacie! Wiosna rozpoczyna się w styczniu, lutym, marcu, kwietniu, maju, czerwcu, a często wcale jej nie ma — jak się podoba naturze, która sobie obrała nas za główny cel swoich nieobliczonych kaprysów! Toż samo dzieje się z innemi porami roku. Rolnicy i ogrodnicy ułożyli sobie kalendarze robót, w których przepisują, co i kiedy czynić należy: wtedy trzeba siać a wtedy orać, żąć, szczepić, oczkować... Tymczasem przychodzą niespodziewanie chłody, upały lub deszcze i cały ten domek z kart wywracają do góry nogami. A ponieważ coś podobnego dzieje się w całej Europie środkowej, więc wróżbiarze polityczni przypuszczają zapewne, iż wojna nie wybucha od lat wielu na wiosnę dla tego, że mocarstwa pragnące się bić nie wiedzą, kiedy właściwie mają wystąpić do walki. Rok obecny pospieszył się nadzwyczajnie z ciepłą porą. Od połowy marca słońce pieści ziemię, która rozgrzewa się pod jego pocałunkami tak szybko, że niedługo zacznie być płodną. Niespodzianka ta pokrzyżowała wiele zamiarów, które jej nie przewidywały, ale stała się dobrodziejstwem dla biedaków. Pozwala ona im oszczędzać paliwa, uniknąć niejednej choroby, wyjść na powietrze z ciasnych izdebek i podziemi, odetchnąć czemś lepszem, niż zaduchem, zgnilizną i swędem. Zwłaszcza uboga ludność wiejska błogosławi wczesną wiosnę, która często jest dla niej jedynem szczęściem. My patrzymy na termometr dla zobaczenia, jakie wziąć ubranie; nędzarz wyszedłszy na ulicę, widzi w cieple lub zimnie zwiastuna lepszej lub gorszej doli. Z tego względu wdzięczni jesteśmy naturze za tegoroczną wiosnę.

Potrzebował...

Najroskoszniejsze wonie, najradośniejsze śpiewy ptactwa nie zdołają ukoić smutku

w duszy br. Günzburga, który „potrzebował 600,000 rocznie" na swoje wydatki a tego roku mieć ich nie będzie, bo „musi likwidować." Między tą „potrzebą" a „musem" rozsnuła się ponura tragedya, która jest zarazem doskonałą komedyą. Jak wiadomo czytelnikom naszym, ów królik giełdowy miał dla uprzyjemnienia sobie życia zaledwie kilkanaście milionów rubli a ponieważ „potrzebował 600,000 rs.", więc musiał dorabiać. I dorabiał, czyli—jak powiada *Gaz. losow.*—„szukał punktu oparcia nie w prawidłowych interesach bankierskich, ale w operacyach nieruchomościami i w nieokiełznanej grze giełdowej." Przez jakiś czas geszefty „odrzucały" pożądaną ilość setek tysięcy rubli, ale wreszcie odrzuciły spekulanta, który ogłosił się niewypłacalnym. Wierzyciele łącznie z przyjaciołmi, którzy „dla honoru domu" postanowili dźwignąć upadłego olbrzyma, zajęli się urządzeniem administracyi nad jego majątkiem i żywią nadzieję, że po zaspokojeniu wszelkich długów zdołają uratować dla nieszczęśliwego bohatera około... 2 milionów rs. Co za szczęście! Bo pomyślmy tylko: owe kilkanaście, zarówno jak dwa miliony powstały z „nadwartości," tj. z haraczu, który praca pewnej ilości ludzi zapłaciła br. Günzburgowi i jego przodkom. Otóż czy nie jest to wielką korzyścią, wielkiem dobrem społeczeństwa, gdy w niem żyje człowiek, któremu tysiące innych muszą oddawać „nadwartość" swej pracy i który „potrzebuje 600,000 rs. rocznie"? To nie jest wcale człowiek, lecz — jak się mówi zwykle — instytucya. Bo przecie ma on biura, zakłady, fabryki, kantory, „daje" ludziom zarobek, więc w interesie ogółu leży, ażeby taki dobroczyńca posiadał 600,000 rs. dochodu, bez którego istnieć nie może. Nie może? Tak jest. Wam się zdaje, że jemu wystarczyłoby cztery lub sześć pokojów, parę funtów mięsa i jarzyn dziennie, kilka garniturów ubrania, podczas gdy on „potrzebuje" dziesięć wielkich mieszkań, rozrzuconych w rozmaitych częściach świata, pięć kosztownych karet, tysiąc butelek drogiego wina i t. d. Dla siebie? Tak, dla siebie. Bez tego on nie chce żyć i „dawać" ludziom zarobku. Pozostanie im do wyboru: albo mu zapewnią pół miliona rubli rocznie, albo... No, albo nie będzie ich dobrodziejem i zostanie zwyczajnym numerem statystyki społecznej. Zasłużona też należy się wdzięczność i uznanie tym, którzy zdołają nietylko pokryć zobowiązania bar. Gunzburga, ale dźwignąć i podeprzeć zachwianą firmę, a nadewszystko ocalić dla jej szefa 2 miliony rs. Nie będzie on z nich miał, chociaż będzie „potrzebował 600,000 rs." rocznie, ale w każdym razie opędzi procentami od tej sumy najniezbędniejsze swoje wydatki. Zresztą może jeszcze ją powiększyć zapomocą „prawidłowych interesów bankierskich," a i Fortuna w grze giełdowej często wraca swe względy oblubieńcom. Cieszmy się więc szczęściem w nieszczęściu i nadzieją, że „solidna firma" odzyska swoje stanowisko, swoje 600,000 rs. rocznie, a może nawet sposobność urządzenia jeszcze raz... likwidacyi. *O.*

Emigracya żydowska.

Hacefira zamieścił w ostatnim numerze list pomocnika Hirscha, p. Arnolda Whitego, bawiącego w Petersburgu, z którego widać, że nowy Mojżesz tyle obudził nadziej w swoim ludzie, iż teraz musi go powstrzymywać. Wstrzymuje go tylko do czasu, potem, gdy ziemię obiecaną urządzi, jak należy, otworzy sluzę i powie: „płyńcie i zaludniajcie ją!" List ów jest treści następującej: „Przyjechałem tutaj (do Petersburga) dla powstrzymania szalonej (*wild*) i nierozsądnej emigracyi. Plany, jakie sobie zakreślił bar. Hirsch, są tak olbrzymie, iż nie mogą być ukończone w ciągu jednego dnia, z chwilą zaś, gdy Ameryka Północna jest faktycznie zamknięta dla biednych, a kolonie argentyńskie nie są jeszcze gotowe, najrozumniejszą rzeczą dla izraelitów będzie zaczekać, dopóki wszystko nie zostanie należycie przygotowanem. Br. Hirsch pracuje nocą i dniem, ażeby dopomódz emigrantom, lecz na to potrzeba czasu. Będzie to dla nas wielką pomocą, jeżeli w piśmie swojem (odezwa do redaktora *Hacefiry*) zechcesz pan najszerzej zawiadomić ludność żydowską, aby wstrzymała się z emigracyą, dopóki komitety nie ukończą swej pracy."

Z Argentyny.

Podczas gdy jedni wychodźcy żydowscy malują w listach swoich odstraszający obraz kolonij, założonych w Argentynie przez bar. Hirscha, inni przedstawiają je jako prawdziwą ziemię obiecaną, wobec której blednie biblijny Chanaan. „Kraj to mlekiem i miodem płynący — pisze jeden z osadników do *Izraelity*... Praca koło roli nie ciężka tutaj; przestrzeń gruntu, do której zorania w naszych stronach potrzeba sześciu par wołów, tu zorana bywa jedną parą. Inne tu narzędzia rolnicze: nie drepcze oracz aż do wyczerpania za pługiem, lecz siedzi sobie spokojnie na machinie i kieruje wołami, aby z drogi nie schodziły... Co do naszego pożywienia mogę to tylko powiedzieć, że tłustych mięsiw i różnych smakołyków, jakie tu pozostają po naszych obiadach, nie znajdowałem w domu na weselach zamożnych." W końcu korespondent dodaje: „Jak przybędziesz, przekonasz się, że nietylko nie przesadziłem, ale nawet połowy prawdy ci tu nie napisałem." Sądzimy, że wobec takich wiadomości z raju argentyńskiego, nie pomogą powstrzymujące ostrzeżenia zarówno pełnomocników bar. Hirscha, jak i komitetów emigracyi żydowskiej. *M.*

Śmierć rabina.

Historya teraźniejszości nic a nic o tem nie wiedziała, że w Grodzisku mieszkał wielki człowiek. Ażeby być człowiekiem wielkim, potrzeba być uznanym za takiego przez pewną ilość ludzi, która ma prawo nazwać się tłumem, gromadą, ogółem lub czemś podobnem. Żadnych dalszych warunków współczesność nie stawia (potomność wymaga innych) i jeśli jej się tak podoba, może obdarzyć tytułem sławy nawet wygrywającego główny los na loteryi. Z tego względu rabin Majlech Szapiro, mieszkający w Grodzisku, był wielkim, daleko większym, niż np. hr. Stanisław Tarnowski. Bo posłuchajcie, co się działo, gdy umarł. Natychmiast — jak donosi *Gazeta warszawska* — wyprawiono 78 telegramów w różne strony kraju. W Warszawie na dworcu kolei Wiedeńskiej zgromadził się tłum hasydów: o godz. 10 m. 45 wyjechało ich 289, o 11 m. 25 umyślnym pociągiem—424, o 2 m. 30 również osobnym pociągiem 240, o 3 m. 45 — przeszło 100. Kolejami i furmankami napłynęły z innych stron do Grodziska fale wielbicieli nieboszczyka, tak, że w orszaku pogrzebowym znajdowało się ich około 10,000, a w tej liczbie 40 rabinów. Prosimy teraz odpowiedzieć: jak znakomitym musiałby być uczony, poeta, artysta, ażeby po jego śmierci rozesłano 78 depesz i ażeby przybyło w ciągu doby 10,000 ludzi i 40 biskupów? Więc chyba przyznacie, że Majlech Szapiro był wielkim, chociaż historya ani się go domyślała. Za cóż go tak czczono? Za to — mówią wierni — że był bardzo dobroczynny, gdyż pomimo ogromnych dochodów nie zostawił żadnego majątku. Nie przeczymy, że on tę cnotę posiadał, ale wątpimy, ażeby ona była głównem źródłem jego sławy śród hasydów. Oni czcili w nim jeżeli nie wyłącznie, to przedewszystkiem „uczonego," cudotwórcę. Zmarły cadyk był głową tego olbrzymiego polipa ciemnoty religijnej, którego ramionami są hasydzi. Jakie on robił „cuda" — nie wiemy, przypuszczamy tylko, że nie były ani gorsze, ani lepsze od wszystkich innych tego rodzaju kuglarstw. *W.*

Ogrodnicy.

Pewne myśli krążą czasem w powietrzu i objawiają się jednocześnie w różnych, oddalonych od siebie punktach. P. E. Jankowski, jak zaznaczaliśmy, przedstawił w Towarzystwie ogrodniczem wniosek ustanowienia ogrodników, którzyby na żądanie zwiedzali sady prowincyonalne i dawali wskazówki, odpowiednie postępom wiedzy. Wniosek ten zahaczył się o coś i zapewne nieprędko będzie urzeczywistniony. Tymczasem nadchodzi z Petersburga wiadomość, że ma być utworzony „instytut uczonych ogrodników," który będzie udzielał wszelkich objaśnień zgłaszającym się do niego osobom. Jest to dopiero projekt i dosyć niejasny, gdyż jeden taki instytut, gdziekolwiek umieszczony, nie może odpowiedzieć potrzebom obszernego państwa, nawet rozgałęziwszy się kilkoma filiami. W każdym razie jest on wyrazem myśli szeroko uznawanej, która domaga się spełnienia, a nasze Towarzystwo ogrodnicze, jeśli dba o wpływy praktyczne, prędzej czy później musi ją wprowadzić w życie.

Nowa szkoła.

W osadzie Wąwolnicy w powiecie nowoaleksandryjskim powstała za pozwoleniem władzy „praktyczna szkoła ogrodnictwa i pszczelarstwa." Wykładana w niej będzie także nauka budowy ulów rozmaitych systemów oraz wyrobu narzędzi i przyrządów, używanych w ogrodnictwie i pszczelarstwie. Nadto wychowańcy uczyć się mają języków polskiego i ruskiego, religii, arytmetyki, geografii i rysunków. Wpisowe wynosi rs. 36 rocznie, w ratach półrocznych, opłacanych z góry. Razem z pomieszczeniem i stołem opłata wynosi rocznie 150 rs. Kurs jest dwuletni. Uczniowie mogąc mieć mniej, niż lat 15 wieku i przyjmowani będą, poczynając od kwietnia r. b. Interesowani zgłaszać się winni do nauczyciela we wsi Wąwolnicy (najbliższa stacya kolejowa i pocztowa Nałęczów) — do p. Bartkiewicza. Wiadomość tę podaje *Dziennik łódzki*.

Orzeczenie senatu.

Według Kodeksu cywilnego (z r. 1825) osoby, wchodzące w jakąkolwiek umowę, mogą obrać sobie w jej akcie zamieszkanie prawne, a skutkiem tego wszelkie odnoszące się do niej poszukiwania (pozwy, wyroki zaoczne itd.) zwracane być winny do tego oznaczonego miejsca, a sprawy wytaczane przed sąd, w którym ono się znajduje. Przepis ten w praktyce ulegał rozmaitym tłomaczeniom. Obecnie — jak donosi *Gaz. sądowa*—senat orzekł, że jedynym skutkiem wyrażania w akcie adresu prawnego jest możność pozywania dłużnika przed sąd właściwy, wszystko zaś doręczane mu być winno tam, gdzie rzeczywiście przebywa. To znaczy przykładowo: dłużnik z Odesy, mający w umowie (wekslu) zamieszkanie prawne w Warszawie, może być pozwany przed sąd warszawski, lecz pozew musi mu być doręczony w Odesie. Jest to zwłaszcza dla kupców bardzo ważna zmiana, która ze względu na rozległość państwa nadać musi inny bieg stosunkom pieniężno-handlowym. *K.*

Muzeum rzemieślnicze.

W Towarzystwie przemysłu i handlu zebrali się ofiarodawcy i przyszli kierownicy Muzeum rzemieślniczego na ostateczną naradę, poprzedzającą otwarcie tej pożytecznej instytucyi, gdyż fundusze są już zebrane w dostatecznej ilości. Przedewszystkiem odczytano instrukcyę, streszczającą zadania Muzeum. Będzie więc ono zaznajamiało rzemieślników z okazami wyrobów nowych i starych, zarówno krajowych, jak i zagranicznych, pod jakimkolwiek względem na to zasługujących. Stała wystawa warsztatów, maszyn i narzędzi, płodów surowych i produktów, służących do wyrobu ręko-

dzieł, zbiory rysunków, fotogramów, kopij, modeli, biblioteka, czasopisma specyalne, krajowe i zagraniczne — oto szereg środków pomocniczych, zmierzających do oddziaływania poglądowo, w sposób kształcący, na świat rzemieślniczy. Muzeum udzielać będzie na żądanie wszelkich informacyj, wchodzących w zakres jego działalności. Kopiowanie okazów, o ile ze strony właścicieli tych ostatnich nie nastąpi odpowiednie zastrzeżenie, odbywać się będzie codziennie, prócz poniedziałku, w którym to dniu Muzeum będzie zamknięte. Dla publiczności w niedziele wejście bezpłatne; w święta zwiedzający płacą 5 kop., w dnie powszednie 10 kop. Muzeum może zwracać uwagę rzemieślnikom na wszystkie wynalazki, ulepszenia, oraz wydawać broszury. Okazy, mieszczące się w Muzeum, w danym razie mogą być wypożyczane.

Muzeum pozostaje pod opieką warszawskiego oddziału Towarzystwa przem. i handlu, a zawiadywaniem komitetu z 9 osób. Wybrano do niego pp.: Lepperta, Szylera, Makowieckiego, Rotwanda, Strzałeckiego, Dicksteina, Otwinowskiego, Bersona, Trembickiego, Szebekę, Sawickiego i Keppego. Do komisy, rewizyjnej weszli: dr. Benni (?), Wojno, Piotrowski i Wydżga. Wkrótce tedy rozpocznie się działalność instytucyi, której życzymy powodzenia a raczej wpływu.

Taksa lekarska.

Rozbierany w roku zeszłym projekt otaksowania usług lekarskich obecnie, jak zapewniają dzienniki ruskie, opracowano już całkowicie. Wątpliwą atoli jest rzeczą, czy norma prawnie określona znajdzie ścisłe zastosowanie w praktyce. Obecnie taksy nie ma, ale zwyczajowo przyjęto normę płacy — rubla za poradę, jeżeli pacyentem jest człowiek średnio zamożny, a lekarz nie należy do znakomitości. Znani cenią usługi swoje bardzo wysoko, częstokroć nawet je przeceniają, ale przyznać im to trzeba, że w wielu wypadkach nie wzdragają się pomocy bezinteresownej. Słyszymy nieraz narzekania na egoizm i nieużytość lekarzy, gdy chodzi o wynagrodzenie ich trudu, na targi odbywane z góry w chwili, gdy każda minuta opóźnienia może zabić chorego. Ale znowu z drugiej strony publiczność bardzo często nadużywa drażliwości lekarza, dzięki zwyczajowi skromnego wciskania honoraryum przy podaniu dłoni. Nie trzeba się zatem dziwić tym, którzy dostawszy parę razy papierek zwyczajny lub guzik zamiast banknotu, albo też najprostsze: „Bóg zapłać“ — oceniają potem z góry swoją pracę i jawnie żądają wynagrodzenia.

Wykończony projekt taksy wywołał liczne uwagi w prasie ruskiej. Między innemi *Dień* pisze: „Trudno liczyć, aby wzajemne zobowiązania lekarzy i publiczności mogły być uregulowane należycie za pośrednictwem taksy. Same warunki korzystania z pomocy lekarskiej, o tyle są różnorodne, że podciągnięcie ich pod pewne kategorye nie wydają się rzeczą możebną. Największe trudności pod tym względem wynikają przy ocenianiu pracy różnych lekarzy, której wartość zależy od imienia każdego z nich oddzielnie. Jeżeli chodzi o prawo; to i teraz istnieje norma honoraryum 15 kop. za odwiedzenie chorego bez przepisania lekarstwa i 30 kop. z przepisaniem. Jednakże nikt z tego nie korzysta, a nawet trudno przypuścić, czy ktokolwiek z publiczności wie o tym przepisie. To samo się stanie z każdą urzędownie ogłoszoną taksą. Korzystanie z przymusowej pomocy dla wielu będzie rzeczą wcale nie pożądaną, a zresztą lekarze potrafią zawsze się uchylić od wizyty pod tym lub owym pozorem.“

Pismo powyższe uważa za jedyny środek uregulowania stosunków między lekarzami a publicznością — skasowanie obecnej sprzedaży detalicznej usług lekarskich. Natomiast radzi rozszerzenie praktyki na rachunek instytucyi publicznych, tudzież organizowanie stowarzyszeń w celu wspólnego „najmowania“ lekarzy za pewną opłatą roczną, z warunkiem, iżby każdy z członków miał zawsze na swoje usługi pomoc. Zdaje się, iż ten pomysł ostatni nie grzeszy zbytkiem praktyczności. *Drog.*

Płonne nadzieje...

Rozeszła się niedawno pogłoska, rozpowszechniona przez pisma codzienne, że dyrekcya kolei nadwiślańskiej wydała rozporządzenie, ażeby, w razie choroby lub urlopu kasyerów stacyjnych, czynności ich spełniały kobiety: żony lub córki urzędników miejscowych, gdyż kolej zapasowych kasyerów nie ma. Wieść ta mocno zajęła interesowane niewiasty. Cóż się jednak okazało? Że była to bajka reportera, jak wiele innych, bo „po dokładnem sprawdzeniu wiadomości u źródła,“ hodowcy kaczek dziennikarskich zbadali, że sprawa pracy kobiet na kolei „przedstawia się zupełnie odmiennie.“ Chociaż na wielu kolejach w Cesarstwie są już oddawa kasyerki i telegrafistki etatowe, ale nasza Nadwiślańska — o czemś podobnem nie myśli. Pracę kobiecą stosuje ona u siebie, jedynie w postaci żon i córek dróżników, które za obsługę przejazdów pobierają stale po kilka rubli miesięcznie i tylko w Płudach, na przystanku, żona miejscowego dozorcy sprzedaje bilety na pociągi osobowe. Pobudką zaś owej pogłoski było to, że córka kasyera na stacyi Mława pełniła czynności ojca zastępczo i *bezpłatnie* w czasie jego urlopu. Nie wynikło to z braku kasyera zapasowego. Owszem, w wydziale ruchu kolei Nadwiślańskiej jest aż siedmiu agentów zapasowych, przeznaczonych wyłącznie do zastępstw urzędników stacyjnych: zawiadowców i ich pomocników, kasyerów biletowych i towarowych, ekspedytorów i t. d. Otrzymują oni za to, prócz pensyi — dyety. Ponieważ za zastępstwo trzeba płacić, przeto wynaleziono system udzielania urlopów urzędnikom na ich koszt: urlopowani muszą z własnych funduszów wynagradzać zastępców, a w wyjątkowych tylko razach (których zapewne bywa bardzo mało?) towarzystwo ponosi wydatek. Otóż kasyer w Mławie, nie mogąc otrzymać urlopu wyjątkowego, uprosił dyrekcyę żeby pozwoliła jego córce zastępować go w czasie nieobecności, przyjąwszy wprzód na siebie odpowiedzialność za jej czynności. Dyrekcya pozwoliła, ale z warunkiem, że za to nie dostanie ani grosza.

Z tego lichego ziarnka wyrosła w wyobraźni reporterów i aspirantek do samodzielności ekonomicznej całe drzewo szczęścia — wierzba z gruszkami. *Z. A.*

Znowu.

(Nad.). *Kraj*, którego obydne *sui generis* ćwiczenia stańczykowskie nie odbijają się na szczęście najsłabszem echem w prasie tutejszej, zmusza ją do wyjścia z milczącej względem niego obojętności puszczaniem rozmaitych nowin, czerpanych, naturalnie, z wiarogodnego źródła. Znowu więc powtarzają pisma za nim wiadomość o wykupie przez rząd kolei Terespolskiej — w ściśle oznaczonym dniu 13 maja r. b. Czy to stanowcze i nieodwołalne doniesienie nie będzie jeszcze zaprzeczone — rozumie się, nie ręczymy, a nawet przypuszczamy, że reporterzy pod dowództwem p. Piltza zarobią jeszcze niejedną kopiejkę na sprostowaniach i dopełnieniach tej wiadomości, która liczy już kilka lat wieku i niedługo będzie miała prawo do skromnego jubileuszu. *Z.*

Nad świeżą mogiłą.

Niewiem, czy zbyt nie uogólniam wrażeń osobistych, chociaż zdaje się, że nie bardzo mijam się z prawdą, twierdząc, że śmierć więcej oszczędza filistrów, aniżeli ludzi, wybiegających po za widnokręgi czysto osobistego dobrobytu i sobkostwa. Nie będę badał przyczyn tego objawu. Czy organizm wrażliwszy nosi zarodki wcześniejszego zużycia w samym sobie, czy też są jakieś inne wpływy, dość, że tak się przedstawia rzeczywistość. Kilka tych myśli, oddawna błąkających się po głowie z powodu licznych śmierci, które, przedwcześnie zatruły bliskich mi ludzi, rokujących wielkie nadzieje lub też gotujących się do wystąpienia na widownię życia publicznego, nasunął mi „świeży zgon d-ra Maksymiliana Leśnika, przed kilku dniami w Meranie. Z lekkiego przeziębienia, jakie zyskał w praktyce lekarskiej, wywiązały się galopujące suchoty, które, natrafiwszy na grunt nerwowo osłabiony dawnymi warunkami bytu, zabiły go w ciągu kilku miesięcy. Przed paru tygodniami żegnałem go w Warszawie. Zatrwożony rozwijającą się chorobą, przyjechał poradzić się, zdecydowany, że jeśli nie ma nadziei zupełnego wyleczenia, przeznaczyć pieniądze na cel lepszy, niż przedłużenie kilkomiesięczne uciekającego życia. Ukryto przed nim prawdę i wyprawiono go do Meranu...

Zmarły skończył przed laty z górą dziesięciu wydział farmaceutyczny w uniwersytecie warszawskim, a jednocześnie zdał egzamin dojrzałości i wstąpił na medycynę. W 1884 przeniósł się do Berna, wreszcie ukończył studya w Dorpacie, dzięki pomocy pieniężnej, którą znalazł u również niezamożnego brata. Jako lekarz przed kilku laty osiadł w Suwałkach, gdzie wkrótce stał się doktorem nędzarzów wszelkiego rodzaju i pochodzenia. Przez pewien czas był współpracownikiem *Zdrowia*, lecz przeniósłszy się na prowincyę, rzucić musiał podobną pracę z braku materyału, a natomiast zaczął marzyć o publicystyce i krzątał się żwawo około założenia w Suwałkach organu miejscowego. Przyjmował też żywy udział w niektórych wydawnictwach warszawskich.

Zresztą o zmarłym wspominamy nie z powodu planów jego publicystycznych. Był on czemś więcej, niż człowiekiem, mniemającym, że z napisaniem kilku artykułów skończą się wszystkie jego obowiązki społeczne. Przedewszystkiem śmierć zabiła w nim charakter z głębokiem uczuciem społecznem i potrzebą pracy publicznej. Sam zawód lekarski posiadał dlań wartość tylko o tyle, o ile stawiał go oko w oko z niedomaganiami społecznemi. Uczciwość największa i uczynność czysto prywatna nie miały w oczach jego żadnego znaczenia, sądził on ludzi według ich uczciwości społecznej. *Lud. Krz.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

EMERYTURA PAŃSTWOWA.

Można poddawać bardzo surowej krytyce sposób przeprowadzania reform społecznych, stanowiących treść „polityki społeczno-pozytywnej“ ks. Bismarka, lecz niepodobna nie przyznać, że zasady teoretyczne, na jakich opierają się te różne ubezpieczenia ludności pracującej przeciwko chorobom, wypadkom nieszczęśliwym lub niemożności zarobkowania z powodu starości, są w najwyższym stopniu w zgodzie z naturą dzisiejszego ustroju ekonomicznego i stanowią punkt zwrotny w rozwoju pojęć o zadaniach państwa. Można wykazywać np., że emerytury, otrzymane przez inwalidów pracy najemnej, są nadzwyczaj drobne i nie wystarczają na zaspokojenie nawet najkonieczniejszych potrzeb, że sposób gromadzenia funduszów na zasób emerytalny zbyt ciężkiem brzemieniem spada na barki warstw uboższych, że organizacya ubezpieczenia emerytalnego stworzyła nieruchliwą a kosztowną maszynerye, lecz wszystkie te zarzuty, skierowane przeciwko

praktycznemu urzeczywistnieniu reform, są względnie drobnej wagi w porównaniu z tym pierwszorzędnego znaczenia faktem, że państwo przyznało konieczność zabezpieczenia bytu swojej ludności pracującej i zasadę tę wcieliło w życie. O ile podstawowa myśl owych reform jest na czasie i odpowiada wymaganiom najistotniejszym chwili obecnej, za dowód może posłużyć ów oddźwięk, jaki znalazły one w innych krajach. Ponieważ w obecnym wypadku obchodzi nas jedynie zabezpieczenie emerytalne inwalidów pracy, zatrzymamy się głównie nad niem. Pod wpływem przykładu, danego przez Niemcy, kwestya emerytury wypłynęła na porządek dzienny we Francyi i Włoszech, następnie doczekała się rozwiązania w Danii, jest rozpatrywana w Rosyi, gdzie minister skarbu złożył w Radzie państwa projekt odpowiedni, uwzględniający częściowo także sprawę inwalidów pracy, wreszcie stanowi ona dziś przedmiot nadzwyczaj ożywionych rozpraw w Anglii, w kraju, tak fanatycznie dotychczas hołdującym zasadzie samopomocy prywatnej i niemięszania się państwa, a znajduje tam rzeczników wśród ludzi, jak Chamberlain, uchodzących za nader praktycznych mężów stanu.

Wiosną przeszłego roku minister francuski Constans wniósł podobny projekt, lecz oparł go odrazu na zasadzie zgoła odmiennej, aniżeli niemiecki i przytem wcale nieuwzględniającej wymagań współczesnego życia ekonomicznego. Emerytura byłaby tutaj wynikiem zgoła dowolnej umowy pomiędzy państwem a robotnikiem, który odpowiednio do swojej chęci (tj. zasobności) może ją zawrzeć lub też nie. Gdyby jednak życzył sobie mieć zapewnioną starość, winien od 25 roku życia do 55 opłacać dzienną składkę — 5 lub 10 centymów, według woli (z roku potrąca się 75 dni na święta i brak zajęcia). Do zabezpieczenia takiego ma prawo każdy, zarówno mężczyzna jak i kobieta, byleby zarabiał rocznie nie całe 3,000 franków. Przedsiębiorca, jeżeli robotnik złoży oświadczenie składki emerytalnej, jest w tym wypadku urzędowo zobowiązany do wnoszenia podobnej sumy, wreszcie i państwo pospiesza wtedy z uiszczaniem swojej części. Dzięki temu, wnoszący składkę w 65 roku życia otrzymuje emeryturę roczną 600 lub 300 franków odpowiednio, jaką opłacał składkę. Ażeby zaś pokryć częściowo wydatki, wymagane przez ten projekt, zamierzono opodatkować przedsiębiorców od każdego zatrudnionego w zakładzie cudzoziemca. Na razie nie obchodzą nas dalsze losy tego planu, zaznaczymy tylko jego istnienie oraz niższość rządzącej nim zasady, mianowicie że wszystko zawisło tu od dobrej woli robotnika. Przypuszczano jednak, iż wola ta znajdzie dla siebie podnietę w dokładaniu odpowiedniej sumy przez państwo i kapitalistę, lecz zapomniano o tem, że najlepsze chęci i najbardziej przemawiające bodźce pozostają bez wpływu, kiedy w kieszeni panuje pustka, a nadto nie uwzględniono jeszcze, że przedsiębiorca, niechcąc opłacać składek, do których jest zobowiązany przy istnieniu u kogoś owej dobrej woli, będzie tego kogoś usuwał z zakładu i poprzestawał na ludziach, nieposiadających podobnego rodzaju zachcianek. Wszystko to czyni ów projekt jedynie martwą literą, a raczej nie pozwala przyznać mu najmniejszego znaczenia.

Projekt włoski posiada swe dzieje odrębne, gdyż poniekąd jest on jeszcze opracowaniem idei Cavourowskiej, lecz mimo takiej dawnej przeszłości wciąż jest rozpatrywany i nie może doczekać się urzeczywistnienia. W ogólnych zarysach przypomina on zamiary francuskie, z tą tylko różnicą, że jest jeszcze mniej udatny. Wychodzi z założenia, że zabezpieczenie starości winno być nawskroś dziełem dobrej woli najemnika, którego usiłuje zachęcić obietnicą, że do każdej złożonej składki państwo z własnych funduszów doda stosowną sumę. Każdy może składać, ile i kiedy chce, byleby corocznie, oraz aby suma nie przewyższała w tym okresie czasu 500 lirów. Po latach 20, jeśli ma skończonych lat 59 wieku, zyskuje ubezpieczony prawo do pobierania stałej emerytury, której wielkość zależy od rozmiarów składek. Przytem postawiono jeszcze warunek, aby kandydat do emerytury był obowiązkowo członkiem jakiegoś towarzystwa spożywczego lub wzajemnej pomocy. W ten sposób usunięto od korzystania z zapomogi na starość warstwy najuboższe ludności pracującej i wykoszlawiono najzupełniej wszelkie głębsze znaczenie emerytury.

Lecz jeżeli oba powyższe projekty stoją co do swojej wartości niżej od niemieckiego i są raczej próbą rozwiązania tanim kosztem stawianych przez życie żądań, natomiast w Danii zasada państwowej emerytury dla inwalidów pracy została urzeczywistniona na podstawach o wiele szerszych. Ubezpieczenie starości stało się tutaj prawem w lipcu roku zeszłego. Pierwszy wnioskodawca, Rubin, dyrektor biura statystycznego w Kopenhadze, zażądał, aby państwo wypłacało każdemu niezamożnemu obywatelowi kraju w wieku lat 62 emeryturę — bez żadnych uprzednich składek z jego strony. Emerytura byłaby różną, zależnie od tego, czy dana osoba mieszka w mieście wielkiem (tj. w Kopenhadze, czy w małem lub też na wsi; w Kopenhadze np. mężczyzna pobierałby rocznie 200 koron, kobieta 150, jeżeli byliby samotni; stadło małżeńskie otrzymałoby 300. Wykluczane byłyby jednostki, znajdujące się w więzieniach itd. Fundusze na wydatki emerytalne winny być czerpane z nowo nałożonego w r. 1891 podatku przeciwtrunkowego. Rubin tedy w swym projekcie przyznawał zasiłek stały w starości wszystkim niezamożnym członkom kraju bez żadnych składek z ich strony, wówczas kiedy niemiecki zna tylko najemników i wymaga nadto uiszczania składki. Rząd duński przyjął ten plan z małemi zmianami i uzyskał dlań sankcyę prawodawczą w parlamencie. Naprzód zniżył wiek inwalidów emerytalnych do lat 60, następnie wprowadził inną poprawkę, mianowicie, że emeryturę pobiera tylko ten niezamożny obywatel, który w ciągu ostatnich lat 10 nie otrzymywał od urzędów dobroczynności żadnego wsparcia i nie żebrał. Ale zepsuto pomysł w jednym punkcie: nie wyznaczono rozmiarów samej emerytury, które zależą od widzimisię rad gminnych, bo zastrzeżenie, że pensya winna pokrywać wszystkie niezbędne potrzeby życia, w gruncie rzeczy otwiera pole wszelkiej dowolności.

Przejdziemy teraz do Anglii. Przedewszystkiem winniśmy zaznaczyć, na co już kilkakrotnie zwracaliśmy uwagę, że spotykamy tu zupełny przełom w poglądach ekonomicznych. Był to do ostatniej chwili kraj kultu samopomocy i wszelkie urządzenie w rodzaju niemieckiego zabezpieczenia inwalidów pracy zostałoby odrzucone jako objaw niepotrzebnego mieszania się państwa winny być w nieswoje rzeczy, w rodzaju duńskiego zaś — jako „pauperyzowanie“ społeczeństwa i przyzwyczajenie członków kraju do liczenia nie na swoje siły, lecz na cudzą pomoc. Takie było stanowisko nietylko przedstawicieli ekonomii mieszczańskiej, co byłoby rzeczą najnaturalniejszą, lecz także i najmickich związków zawodowych. Obecnie odwrót widzimy na całej linii — wszędzie wiara w potęgę samopomocy prywatnej, nawet zrzeszonej, ustaje i natomiast zjawia się przekonanie, że różnych niedomagań chwili nietylko niepodobna uleczyć, ale nawet złagodzić po za społeczeństwem, tj. bez udziału i kierownictwa maszyny państwowej. W tej liczbie też naturalnie znajduje się sprawa zabezpieczenia bytu starców, którzy sterali zdrowie swoje i młodość w pracy i na lata zgrzybiałe znaleźli się bez środków do bytu. Różni Kalchasi ekonomii mieszczańskiej wskazują, że w kraju istnieje wśród ludności pracującej cała sieć stowarzyszeń wzajemnej pomocy na wypadek choroby (tak zwane *Friendly Societies*) oraz że związki zawodowe zasilają stale swoich inwalidów, lecz ci panowie milczą obłudnie o tem, że wszystkie te instytucye nie wykraczają po za arystokracyę pracy. A tymczasem tłumy całe na starość są pozostawione na pastwę nędzy i systematycznego wygłodzenia się, a słowa te nie są bynajmniej retoryczną przesadą, lecz najistotniejszą prawdą, jak to zaraz ujrzymy. Mamy właśnie pod ręką wyliczenia niejakiego J. A. Spendera, który w sprawie emerytalnej wydał świeżo dość cenną pracę. Zebrane przezeń, a raczej skądinąd zapożyczone fakty, są jaskrawem potwierdzeniem zdania, wypowiedzianego przez prof. Marshalla w jego ekonomii. „Wymagania przemysłu ulegają dziś tak szybkiej zmianie, że w wielu gałęziach długie doświadczenie jest wprost wadą, w niektórych zaś posiada mniejszą wartość, aniżeli łatwość przyjmowania nowych pomysłów i zdolność przystosowywania się do nowych warunków. W tych produkcyach człowiek lat dojrzalszych ledwie może znaleźć zajęcie.“ Wiek starszy odznacza się pewnym konserwatyzmem i z tego powodu ludzie wiekowi tylko wtedy trzymani są w zakładzie, zresztą na niższym zarobku, kiedy służą w nim dłużej; jeżeli stracą miejsce, rzadko znajdują inne stałe. W większości zawodów zarobek zaczyna spadać już około 45 roku życia, lecz dopiero od 55 zniżka staje się gwałtowną. Około 60 lat wieku człowiek utraca zwykle wszelkie prawidłowe zajęcie i liczyć może jedynie na przypadkową, nader łatwą robotę. Jaka starość wtedy go czeka? J. A. Spender na podstawie danych urzędowych wykazuje, że zasiłki, jakie inwalida otrzymuje od dzieci, są nad wszelki wyraz skromne i nawet większe być nie mogą, że samo życie jest jednem pasmem odmawiania sobie wszystkiego i to wtedy, kiedy jednostka odznaczała się wstrzemięźliwością, posiadała regularne zajęcie i gospodarną żonę oraz nie miała licznej rodziny, tj. zdołała sobie coś zaoszczędzić. W braku któregokolwiek z wyliczonych warunków inwalida pracy jest zmuszony zwracać się do dobroczynności publicznej z prośbą o wsparcie. Z wyliczeń statystycznych okazuje się, iż 25% wszystkich starców angielskich obojga płci powyżej 65 lat wieku ucieka się do takiej jałmużny i otrzymując ją, zostają zaliczeni do pogardliwej rubryki „pauprów.“ Ponieważ jednak procent ten wzięto w odniesieniu do wszystkich anglików danego wieku, więc po odtrąceniu starców zamożniejszych i odliczeniu „pauprów“ w stosunku do ludności pracującej, wypadnie on bez porównania większym. Dodajmy jeszcze, że zwykle udają się oni o pomoc do dobroczynności publicznej tylko w ostateczności i że na „paupra“ wypada mniej więcej dwie osoby, stojące u progu tej rubryki i wahające się go przekroczyć. A to położenie inwalidów pracy pogorsza się w Anglii z roku na rok w miarę tego, jak położenie przemysłu krajowego na rynku międzynarodowym ponosi coraz nowe ciosy. Nie dziw też, że pod wpływem prób dokonanych na lądzie i pogorszenia stosunków zarobkowych angielskich podniesiono w Anglii tę sprawę z całą mocą. O ile ona zaprząta dzisiaj opinię publiczną w tym kraju, można sądzić z powodzi broszur, książek i artykułów, wreszcie z tego, że najpierwsi mężowie stanu, jak Salisbury i Gladstone, w mowach swoich na meetingach uważają za obowiązek przedstawić w kilku słowach stanowisko swych partyj wobec tej sprawy. Jest to wymowną wskazówką, że ona doczeka się wkrótce takiego lub innego rozwiązania praktycznego. To też zatrzymamy jeszcze uwagę czytelnika nad krążącymi projektami. Chronologicznie winniśmy naprzód wspomnieć o wniosku, o-

pracowanym przez Canona Blackleya i szczegółowo rozpatrywanym przez komisyę specyalną, którą w tym celu wyłoniła Izba gmin. Projekt ten żąda, aby każdy obywatel angielski bez względu na płeć w wieku lat 18—21 złożył jednorazowo lub częściami 10 funt. sterl., za co będzie otrzymywał tygodniowo 8 szyl. podczas choroby, 4 zaś jako emeryturę po ukończeniu lat 70. Komisya oświadczyła się przeciwko opracowaniu Blackleya, lecz jednocześnie wypowiedziała zdanie, że dotychczasowe instytucye wywiązują się w najwyższym stopniu niezadawalająco z zabezpieczenia starości oraz że wszelka opłata przymusowa na rzecz emerytury jest niemożliwą dla szerszych warstw ludności. Przed miesiącem czasu Chamberlain w pewnem czasopiśmie wygłosił rezultaty rozpraw komisyi parlamentarnej, która zajmowała się tem zagadnieniem w ciągu r. 1891. Każdy mężczyzna od lat 65 będzie otrzymywał 5 szyl. tygodniowo z pewnem wsparciem dla żony na wypadek śmierci, lecz winien obowiązkowo złożyć 5 funt. sterl. przed rokiem 25 życia i odtąd opłacać rocznie 1 funt. Kobiety opłacają mniejszą składkę i naturalnie dostają mniejszą emeryturę. Ponieważ składki nie pokrywają emerytury, państwo dokłada do nich. Otóż w Anglii czynią Chamberlainowi ten sam zarzut, co projektowi Blackleya, mianowicie, że względnie niewielu może opłacać żądane sumy. Największem współczuciem cieszy się projekt Bootha, znanego „generała armii zbawienia,“ broniony przez Webba i Spendera, a stanowiący dalsze rozszerzenie zasady duńskiej. Składek się nie opłaca żadnych, jedynie państwo zwiększa niektóre podatki. Emeryturę w wielkości 5 szyl. tygodniowo otrzymuje każdy mieszkaniec Anglii w wieku powyżej lat 65, najzamożniejszy i najbiedniejszy, bez względu na płeć. Obliczono, że na pokrycie tego wydatku dla całego zjednoczonego królestwa trzeba byłoby 19 milionów funt. sterl. I rzecz dziwna, projekt ten jest uważany za najpraktyczniejszy, chociaż najbardziej nadwyręża on dotychczasowe poglądy ekonomiczne.

K. R. Ż.

PRZEMYSŁ HANDEL I FINANSE.

Eldorado przemysłowe. Przed kilku laty pod naciskiem nieprzyjaznych warunków produkcyi (wysokich cen węgla u nas) i utrudnień rynkowych (ekonomiczna odległość, dzieląca nas od Wschodu), kapitał uwięziony w stalowni na Pradze opuścił swoją klatkę i odleciał nad Don, do Kamienskoje, gdzie usłał dla siebie w Towarzystwie metalurgicznem nowe, szczęśliwsze gniazdo. I miał dobry węch, gdyż rezultaty osiągnięte przez owo Towarzystwo za ubiegłą kampanię są świetne: wyraziły się one w dywidendzie 10%, która, według wszelkiego prawdopodobieństwa, za „oszczędność,“ „wstrzemięźliwość“ oraz inne cnoty, nie przestanie być nagrodą i w bieżącym roku fabrycznym, kończącym się z d. 13 lipca. Zakłady tameczne mają już obecnie zamówień na sumę około 4 milionów rubli, po dobrych cenach, budowa zaś trzeciego wielkiego pieca postępuje podobno tak szparko, że on już ku jesieni r. b. w ruch ma być puszczony. *Kuryer warszawski*, olśniony tak tęczowym widokiem, wydziwić się nie może, czemu akcye tego potężnego przedsiębiorstwa, mogąc być korzystnem schowankiem, nie są u nas dość cenione i poszukiwane. Najpewniej drobnomieszczańska tchórzliwość naszych renciarzów stoi temu na zawadzie, albo też ciasnota widnokręgów, niepozwalająca im dojrzeć rozleglejszych źródeł zysku.

Są jednak i u nas odważne serca, umiejące korzystać z przykładu Rau'ów i Lilpopów. Oto Eldorado naddońskie ściągnie do siebie wkrótce nowych emigrantów. Podobno w pierwszych dniach kwietnia główny inżenier zakładów Huta Bankowa (w Dąbrowie), p. C. w towarzystwie trzech innych i odpowiedniego zastępu ludzi wyjeżdża do gub. ekaterynosławskiej, gdzie w miejscowości Konstantynówka, w pobliżu Ekaterynosławia budować się zaczną zakłady hutnicze na gruntach nabytych przez towarzystwo Huty Bankowej. Stanąć tam ma aż cztery wielkie piece, produkujące 32—40,000 pudów surowca w ciągu doby; następnie stalownia, mieszcząca 24 piece systemu Simens-Martina, wreszcie walcownie rels, żelaza wszelkich wymiarów, drutu i blachy. Zaopatrzone one będą w zasób najnowszych wyników techniki. „Wszelkie maszyny i urządzenia pomocnicze najnowszych systemów — powiada wspomniane pismo — wprowadzone zostaną wszędzie, gdzie się tylko da zastąpić praca rąk ludzkich odpowiedniemi maszynami. Kapitał, który tych cudów dokona, wynosi 2 miliony rubli. W początkach września r. b. czynną już być ma większa część tych zakładów: wielkie piece i stalownia. Rączość nowego rumaka przemysłu maluje dobrze żądzę jaknajprędszego wzięcia udziału w wyścigu rynkowym, który jest tak złotodajnym dotychczas. *Z. A. P.*

Chrzest nowej fabryki. Nad Wieprzem pod Sernikami zbudował p. Peretz z Zamościa nową papiernię i puścił ją już w ruch. Urządzona według najświeższych wymagań techniki i kosztem 12,000 rubli, zatrudnia 20 robotników. Chrzest, który ją poświęcił na drogę żywota, był bodaj zgodniejszy z naturą rzeczy, niż zwykłe chrzty, dokonywane nad każdym nowym procederem. Była to krwawa ofiara, złożona na wstępie Molochowi środków produkcyi. „W nocy z dnia 11 na 12 marca — donosi korespondent *Kur. warsz.* z Lubartowa — starszy robotnik, Stanisław Finkelsztejn, neofita, mający około 40 lat, w chwili gdy zakładał pas na koło obrotowe, został przez nie pochwycony. Koło wraz z nieszczęśliwym obróciło się dwa razy, a gdy spadł na ziemię z nadzwyczajną siłą, okazało się, iż ma oberwaną przy samem ramieniu prawą rękę, lewą zaś złamaną; nogi obie, prócz silnego pokaleczenia, również złamane.“

Zachodzi pytanie, czemu p. Peretz, urządzając swoją fabrykę „według najnowszych wynalazków,“ zapomniał o tych, które każą uwzględniać przepisy o bezpieczeństwie zdrowia i życia najemników... *P.*

— Rada państwa, jak donosi *Ruskaja Żiźń*, zatwierdziła nowe prawo o handlu bydłem i końmi. Kupno i sprzedaż zwierząt ma się odbywać w osobnych miejscach, a niezachowanie tego przepisu pociąga za sobą odpowiednie kary pieniężne. Zaostrzone są kary za sprzedaż zwierząt kradzionych, jak również za nabywanie świadomie bydła lub koni chorych, po nizkiej cenie, w celu zużytkowania z nich mięsa, skóry itp., z pominięciem przepisów sanitarnych.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że ruskie Towarzystwo żeglugi parowej i handlu postanowiło wysyłać do Konstantynopola i innych portów tureckich węgiel kamienny z nad Donu. W pierwszym roku Towarzystwo spodziewa się wywieźć około 2 milionów pudów węgla z portu Mariupolskiego, dla pobicia produktu angielskiego w Turcyi.

— W celu przekonania się o rzeczywistej ilości zapasów zboża w państwie rosyjskiem, jest projektowane urządzenie spisu jednodniowego owych zapasów, który da nietylko ważne wskazówki, dotyczące zaopatrzenia w zboże miejscowości dotkniętych nieurodzajem, ale nadto wyjaśni, kiedy może znów być dozwolony wywóz za granicę.

— Z powodu wygórowanych taryf, przemysłowcy łódzcy sprowadzają bawełnę do Łodzi furmankami ze stacyi dr. żel. Warszawsko-Bydgoskiej, Ostrowy. Dostawa jednak skutkiem braku dobrze zorganizowanych środków komunikacyjnych odbywa się dotąd nieregularnie. Chcąc temu zapobiedz, jedna z firm łódzkich zamierza zaprowadzić stałą komunikacyę kołową pomiędzy Ostrowami a Łodzią. Wysyłać będzie swoje furmanki po materyał w ten sposób, iżby trzy razy na tydzień przewozić niemi bawełnę do Łodzi.

— Ministeryum dóbr państwa zawiadomiło instytucye rolnicze oraz inne publiczne, że wszelkie podania w sprawie potrzeb rolnictwa i przemysłu wiejskiego, nie poparte danemi statystycznemi i nie umotywowane faktami, nie będą wcale brane na uwagę.

— W zeszłym tygodniu odbył się w Petersburgu zjazd fabrykantów cementu z całego państwa. Zajął się on zmianą norm o przyjmowaniu cementu do robót kolejowych, fortecznych i portowych. Z fabryk Królestwa w zjeździe uczestniczył współwłaściciel fabryki „Wysoka,“ p. Juljusz Eiger i dyrektor fabryki cementu w Grodźcu p. Skarbiński.

— W Kraśniku otwarta będzie wkrótce fabryka mydła i świec.

Z rynku.

Ceny bieżące. Warszawa 31 marca. Na placu Witkowskiego w ostatnich dniach tygodnia ubiegłego panowała stosunkowo „większa chęć“ kupna niż poprzednio; pomimo to posiadacze zbywali towar po cenach nieco zniżonych. Pszenicy wystawiono na sprzedaż 800 korcy. Przy nieco żywszym popycie płacono za wyborową 8,50—8,55, za białą 8,35, za pstrą 8,15. Żyta wcale nie było. Owsa dowieziono 100 korcy. Chwiejności w cenach nie było, płacono rs. 2,90—3,50, stosownie do gatunku.

— Na targu prazkim w dn. 30 marca dowóz zboża wynosił 62 wagony (10 żyta, 36 owsa, 4 gryki, 3 jęczmienia, 5 kaszy jaglanej i 4 kukurydzy). Usposobienie wogóle było dość ospałe. Żyto wyborowe 118—120 kop., średnie 112 — 117, zwyczajne 106 — 110; owies 92—98, średni 84—90; pospolity wcale nie miał popytu. Gryka 108—112 kop. stosownie do gatunku. Jęczmień względnie do dobroci ziarna kupowano po 80—160 kop. Kasza jaglana nie cieszyła się wielkiem powodzeniem (128—143 kop.), tak samo kukurydza (75—77 k.).

Rynki zbożowe. Zniżka cen zboża, przeważnie żyta, mąki i owsa, coraz bardziej się zaznacza; w ubiegłym tygodniu dochodziła do 10 kop. i więcej na niektórych rynkach. Wynikła ona skutkiem ustania zakupów przez ziemstwa i wielkiej powściągliwości nabywców prywatnych, zakupujących zboże w małych ilościach tylko na bieżące potrzeby i nie zawierających zupełnie umów na dostawę. Główną przyczyną zniżki jest ciągłe powiększanie się zaofiarowań w wielkich ilościach na przestrzeni całej Rosyi, nawet w miejscowościach dotkniętych nieurodzajem, co świadczy o dużych jeszcze zapasach. Kupcy zbożowi, widząc niepewne usposobienie rynku w ciągu całej zimy, oczekiwali zwyżki cen i teraz gdy się stale dążność zniżkowa zaznaczyła, ogólnie podają zapasy swoje na sprzedaż. Najwięcej podaży w gub. południowo-zachodnich, zachodnich, środkowych i północnych czarnoziemnych. Z nadeszłych w ostatnim tygodniu wiadomości o stanie zasiewów widać, iż na południu, szczególnie w Besarabii i gub. chersońskiej, wskutek obfitych śniegów, deszczów i powstałej stąd wilgoci, rolnicy wnoszą, że oziminy dadzą obfity plon. W północnym pasie czarnoziemnym notowano zniżkę cen, szczególnie żyta i owsa. Na Donie utrzymuje się ruch ożywiony chociaż umów kupieckich mniej skutkiem odwilży. W gub. południowo-zachodnich ceny ciągle spadają. W portach ospałość.

— Pierwszą partyę zepsutej mąki żytnlej, sprowadzonej z Libawy przez radę miejską petersburską w ilości 39 wagonów, sprzedano na paszę dla bydła po 8 k. za worek. Nabywca zobowiązał się nie używać jej na inny cel.

Rynek pieniężny, 30 marca. Dzisiejsze poranne szacowania berlińskie zapowiadały 206 i 206,25, co odpowiada kursom 48,55 i 48,50 bez kosztów; depesze zaznaczyły lepszą dążność giełdy tamtejszej. W Petersburgu również usposobienie lepsze. U nas z powodu zakupów, poczynionych w celach regulacyjnych, kursy przyjęły dążność zwyżkową. Ruble w gotówce (w Berlinie) 206,20 na dostawę 206,25.

KRONIKA.

Odczyty. W dalszym ciągu odczytów na dochód Osad rolnych dr. Nusbaum rozpoczął wykłady o chorobie. Prelegent stara się zaznajomić słuchaczów z chorobą — że tak powiemy — u jej źródeł, a więc z istotą i zmianami komórki, z drobnoustrojami itd. Jak wiadomo, posiada on wielką zdolność popularyzowania wiedzy.

Sprawy społeczne. Ogłoszono rozporządzenie o rozkładzie na raty osobom pochodzenia ruskiego spłacania należności szacunkowej za majątki poduchowne w Królestwie Polskiem. Procent amortyzacyi zniżono do 1/4 z pozostawieniem poprzedniego procentu od 4%.

— Departament lekarski rozesłał do urzędów lekarskich zawiadomienie, iż do aptek mogą być przyjmowane w charakterze uczenic kobiety, z warunkiem, aby pracowały wyłącznie w dzień i były przychodnie.

— Niezależnie od utworzenia komitetów pomocy dla włościan, dotkniętych powodzią w pow. sandomierskim (13 wsi zupełnie zalanych), gubernator radomski zwrócił się do władz wyższych z wnioskiem o udzielenie zapomogi ze strony rządu, gdyż komitety, posiłkując się jedynie funduszami powstałymi z ofiar prywatnych, nie mogą skutecznie działać. Z powodu tej odezwy kantor warszawski Banku państwa został w tych dniach upoważniony do wydania 400 rubli z funduszów zebranych przez b. komitet centralny pomocy dla powodzian w całem Królestwie Polskiem.

— Opracowane w ministeryum dóbr państwa wyłącznie dla Królestwa Polskiego przepisy o polowaniu wprowadzone zostaną w życie dopiero w lipcu r. b.

Szkoły. Komisya, zajmująca się sprawą wyższego wykształcenia rolniczego podała wniosek, iżby w wyższych zakładach specyalnych wykładane były jako przedmioty oddzielne: historya rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego w Rosyi i zagranicą oraz prawodawstwo specyalne.

— Z powodu zapytania jednego z kuratorów naukowych, czy nadetatowym nauczycielom gimnazyów, progimnazyów i szkół realnych potrącane być powinno 2% od pensyi na emeryturę, władza ministeryalna wyjaśniła, iż nadetatowym przy otrzymywaniu posad etatowych zaliczany jest czas służby poprzedniej, a więc nauczyciele tego rodzaju na równi z etatowymi powinni wnosić po 2% od pensyi na rzecz emerytury.

— W komisyi sejmu galicyjskiego uchwalono podwyższenie pensyi nauczycielom ludowym.

Sprawy kolejowe. W inspekcyi rządowej kolei prywatnych za zasadę będzie przyjęte, iż zarządy powinny przedstawiać na posadę dyrektora po trzech kandydatów, z których minister komunikacyi po porozumieniu się z ministrem skarbu wybierze najodpowiedniejszego. Koleje nie będą miały prawa uwalniać dyrektora bez zgody obu ministrów, ci zaś mogą uwolnić go bez porozumienia się z towarzystwem kolei. Dyrektorom dróg prywatnych będą przyznane prawa i obowiązki naczelników kolei rządowych. Starsi inspektorowie przemianowani na rewizorów kolejowych, mogą wymagać od zarządów przedsięwzięcia pewnych środków, które uważają za właściwe, a o żądaniach swoich będą niezwłocznie zawiadamiali ministeryum.

— Studya nad linią kolejową, przerzynającą grzbiet gór kaukaskich i łączącą Tyflis z siecią kolei ruskich, ukończono obecnie. Robotami kieruje inżenier Rydzewski.

— Na mocy układu świeżo zawartego pomiędzy koleją Wiedeńską i pruską wschodnią, z dn. 1-ym kwietnia r. b. wprowadzona zostaje bezpośrednia komunikacya pomiędzy Warszawą i Wiesbadenem.

— Dotychczasowy przystanek w Rembertowie na kolei Terespolskiej z chwilą wprowadzenia letniego rozkładu jazdy będzie zamieniony na stacyę.

— Rada zarządzająca kolei Nadwiślańskiej wystąpiła do władzy o uchwalenie kredytu dodaktowego na wzmocnienie służby telegraficznej w sumie rs. 1,740 i jednocześnie upoważniła zarząd do zamianowania czterech telegrafistów z pensyą po rs. 300 w Iwangrodzie, Lublinie i Chełmie.

Wystawy i Zjazdy. Na odbytem w ostatnich dniach posiedzeniu komitetu wystawy wyrobów ze skóry w Towarzystwie przemysłu i handlu, zatwierdzono termin na luty 1893 r. Nadto wypracowano program 9 grup: 1) garbarstwo, 2) białoskórnictwo, 3) rymarstwo i siodlarstwo, 4) szewctwo z kamasznictwem i kopyciarstwem, 5) rękawicznictwo, 6) introligatorstwo, 7) galanterya, 8) kuśnierstwo i 9) przerób odpadków skórzanych. Po za konkursem będą dopuszczone wyroby zagraniczne i narzędzia garbarskie, szewckie, introligatorskie itd.

— Ruskie Towarzystwo zdrowia urządza na wiosnę r. p. w Petersburgu pierwszą wszechrosyjską wystawę hygieniczną.

— W czerwcu r. b. odbędzie się w Moskwie pierwsza wystawa elektryczna. Program podzielony na 8 grup obejmie cały obszar elektrotechniki i jej zastosowań.

— W Pradze czeskiej na początku maja otwarta będzie wystawa: malarstwa rzeźby i drukarstwa artystycznego.

— W Rzymie odbędzie się międzynarodowy zjazd archeologiczny 20 kwietnia.

— Dn. 14 sierpnia w Brukselli odbędzie się kongres międzynarodowy antropologii kryminalnej. Program rozpada się na trzy oddziały: antropologii kryminalnej, psychologii i psychopatologii kryminalnej i — socyologii.

Zdrowie publiczne. Nauczyciel gimnastyki, p. Aleksander Surowiecki otrzymał pozwolenie na urządzenie w Warszawie zakładu gimnastyki hygienicznej dla osób obojga płci i wszelkiego wieku. Przy wszystkich ćwiczeniach będzie obecny lekarz.

— Wkrótce powstanie w Warszawie 10 stacyj bezpłatnego szczepienia ospy dla powtórnych szczepień dzieciom i dorosłym.

Bibliografia. A. de Lamartine, *Jocelyn*, przełożył A. M-ski, str. 318 Gebethner i Wolff.

— *Rocznik* (III) krajowej wyższej szkoły w Dublanach.

— P. Wagner, *Podniesienie plonów* za pomocą racyonalnego nawożenia azotem, z 4 tablicami, tłom. S. Rewieński, str. 78, Warszawa, K. Wasilewski.

— E. Orzeszkowa, *Westalka*, str. 50, Warszawa.

— A. Sygietyński, *Wysadzony z siodła*, powieść, Warszawa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Skar. Na projekt ten zwrócimy uwagę, chociaż on bynajmniej nie wydaje nam się „świetnym."

M. B. Wyszydzając manię pisania nowelek, należało stworzyć lepszą.

P. M. St. w Kutnie. Przy sposobności dotkniemy tego wypadku.

Stałemu prenum. z Warszawy. Rada jest tak trudna bez dokładnej znajomości uzdolnień pańskich, że dać jej nie możemy, zwłaszcza gdy ona ma zwrócić życie Pana na inną kolej. Tylko co do wyboru uniwersytetów zagranicznych, zalecamy niemieckie — lipski lub berliński.

Pani Eugenii G. Oba dobre i oba używane.

Pani Felicyi K. w Poczynoku. Ależ to wyraz pospolity: opiłki spadające przy tarciu drzewa.

Panu M. N. N. w Paryżu. Otrzymaliśmy.

Stałemu prenumeratorowi H. B. Na razie nie możemy. Otrzyma pan odpowiedź później.

Sprostowanie. W numerze 13, w wierszu „Matematyka," w. 13 zamiast sympatyą czyt. *symetryą*, w. 27 zamiast struny czyt. *straszny*, w. 32 zamiast wzroku czyt. *oku*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 20 Марта 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.